EPOKA

ROK VI. Warszawa, 5 marca 1939 r. ROK VI Nr 7 (146)

Gaudeamus igitur...

Sytuacja, w jakiej znalazła się nauka polska, przypomina dzieje owej przysłowiowej dziury w bruku przed ratuszem prowincjonalnego miasteczka. Wiedzą o niej wszyscy, jest stałym tematem rozmów — złorzeczeń — ale prześwietny magistrat zauważy ją dopiero wtedy, kiedy wywróci się przez nią powóz pana burmistrza.

Potrzeba było dopiero przemówienia prof. Bartla, aby poruszyły się nieco kwietystycznie i oportunistycznie drzemiące sfery, moralnie i fizycznie odpowiedzialne za wytworzoną sytuację. Niczyj głos nie mógł brzmieć bardziej autorytatywnie, boć nikt chyba (z myślących jeszcze) nie posądzi prof. Bartla o tendencyjne wyolbrzymianie katastrofy, w obliczu której znalazło się polskie szkolnictwo i polska nauka.

Było to zarazem potwierdzeniem, że alarmy jakie od dawna odzywały się z łamów prasy niezależnej nie były przesadzone. „Epoka" może poszczycić się, że była pierwszym pismem, które już w r. 1937 zwróciło uwagę *na grożące nauce niebezpieczeństwo*, domagając się *przedsięwzięcia radykalnych środków dla ratowania ważnego odcinka naszego życia.*

Sprawa poruszona w sejmie jest obszerna, dotyczy całego systemu wychowania i polityki oświatowej. Zostawiając to fachowcom pedagogom, między którymi nie brak przecież ludzi światłych i odważnych, zwrócimy uwagę na jeden odcinek — rolę wyższych uczelni, odcinek najściślej związany z przyszłością nauki polskiej.

Podejmujemy to samo, co pisaliśmy półtora roku temu, a co być może teraz — poparte autorytetem prof. Bartla, enuncjacjami prof. Z. Łempickiego i Nawroczyńskiego — trafi nareszcie do tych, których najprymitywniejszym obowiązkiem jest nie tylko widzieć ale i wyciągnąć konsekwencje.

Zdumienie muszą wywołać coraz częstsze dziś narzekania na brak dopływu młodych sił do nauki. Jakto, więc nie był to zamierzony i z żelazną konsekwencją realizowany cel? Więc stało się to mimo woli? Pisaliśmy półtora roku temu, że wyższe uczelnie są nie tylko fabrykami dyplomów, są jeszcze wielkimi warsztatami kultury i nauki promieniującej na całe społeczeństwo. Wypuszczają obok tysięcy przygotowanych do pełnienia zawodu również dziesiątki pracowników naukowych, tych, którzy staną się kontynuatorami swoich nauczycieli, powiększą ich wiedzę o nowe, własne zdobycze. O tej roli wyższych uczelni, niestety, zapomniano, zgubiono ją w trakcie wiekopomnych posunięć.

Młoda nauka polska zarządzeniami, jakie na nią spadały począwszy od r. 1935 została skutecznie obezwładniona. Młodzi naukowcy, których warunki pra-

cy w Polsce zaiste nie należą do najłatwiejszych, pozbawieni zostali tej reszty jaką jeszcze przed sześciu laty posiadali: środowiska, które ich skupiało i jakiegoś surogatu warsztatu pracy. Rolę środowiska, w którym swobodnie mogły się ścierać poglądy, gdzie w pierwszych demonstrowanych próbach zaprawiano się do samodzielnej naukowej pracy — rolę tę spełniały od dawna istniejące przy uniwersytetach koła naukowe. Organizacje naukowe miały podwójne znaczenie: były warsztatami pracy młodego pokolenia uczonych, pierwszymi audytoriami przyszłych profesorów, kształciły poza tym młodszych studentów, zaprawiając ich do samodzielnej pracy, informowały szerokie rzesze zainteresowanych o tym, co się dzieje w danych dziedzinach nauki, popularyzowały naukowe „nowinki" robiły to, czego z reguły (poza naukami przyrodniczymi) nie robią oficjalne katedry. Rozwój działalności kół naukowych był na niektórych uniwersytetach doprawdy imponujący, wpływał na ogólne podniesienie się poziomu, przynosił zaszczyt uczelniom.

Ale powiały „nowe" prądy. Pierwsze wystąpienia przeciwżydowskie, nie mające nic wspólnego z organizacjami naukowymi, a inspirowane przez ośrodki z poza granic uczelni (często w ogóle z poza granic) dały asumpt do czego? Do zniszczenia organizacji naukowych. Senaty akademickie wspierane instrukcjami ministerstwa z niezrozumiałą zaciekłością rzuciły się na koła naukowe, doprowadzając ich działalność do całkowitej niemal likwidacji.

1) Największe i najruchliwsze organizacje naukowe usuwano z granic uniwersytetu, przydzielano im lokale uniemożliwiające wszelką pracę,

2) stawiano najrozmaitsze przeszkody w organizowaniu przez nie odczytów i dyskusji,

3) *zlikwidowano istniejące dopiero w zarodku międzyuczelniane organizacje naukowe* — ten niesłychanie ważny środek kontaktu między różnymi środowiskami, środek który mógł przezwyciężyć istniejącą od dawna dzielnicowość czy nawet „parafialność" naszej nauki, polegającą na tym, że w Wilnie nie bardzo wiedzą o co idzie profesorom warszawskim, w Warszawie dziwnie brzmią wieści z Poznania itd. I wreszcie

4) *Odsunięto od uniwersytetów wszystkich absolwentów, zabroniono im należenia do organizacji naukowych.*

Możnaby to ostatnie posunięcie nazwać szczytem bezmyślności, gdyby nie było szczytem złośliwego szkodnictwa. Młodzi naukowcy automatycznie utracili naturalny ośrodek który ich skupiał. Uniwersytet „odsadził ich od piersi" i rozproszył po świecie. Rezultaty tego są bardzo wymowne! Np. ostatni zjazd Kół Polonistycznych odbyty w Poznaniu obradował już „nie legalnie", wobec czego część organizacyjną musiano przenieść do jakiejś ustronnej knajpy. Tam (łamiąc obowiązujące ustawy!) debatowano nad utrzymaniem kontaktu w pracach naukowych, układano plany akcji wydawniczej itd. Próby skupienia chodzących luzem i nie mających się gdzie schronić młodych naukowców odbywają się w prywatnych mieszkaniach dzięki ofiarnej inicjatywie jednostek, którym na sercu leży *dobro nauki*. O jakiejś planowej działalności nie może być w tych warunkach mowy, brak środków nie tylko na najskromniejsze cele wydawnicze, ale na kupno książek, które w naszych bibliotekach „ukazują" się (jeśli się w ogóle ukazują) z paroletnim opóźnieniem.

Czyż trzeba jeszcze dodawać barw do tego ponurego obrazu?

Mogłoby się zdawać, że odnosi się to do jednej dziedziny, humanistycznej — a czyż nie gorsze jeszcze jest położenie przyrodników pozbawionych dostępu do pracowni? I tylko zakuty biurokrata, znający „naukę" z elementarza może mniemać, że zaradzi złemu zwiększenie liczby asystentur.

W dzisiejszym stanie rzeczy biadanie na brak młodych sił w nauce jest równoznaczne już nie z oskarżeniem a z policzkiem!

P. min. Świętosławski wyjaśnia w jednym z wywiadów, że inżynier polski zdał egzamin w C.O.P. — oczywiście tak źle jeszcze nie jest, aby szkoły wyższe nie potrafiły wykształcić, dobrych nawet, rzemieślników. Ale któż lepiej wie od prof. Świętosławskiego, że przygotowanie się do egzaminu z roku wykładów i z dwutomowego podręcznika to jeszcze nie praca naukowa? Przy sprzyjających warunkach może się to dopiero stać wstępem do pracy naukowej. Najłagodniej oceniając sprawę wydaje się, że nie może być żadnego usprawiedliwienia, dopóki nie są cofnięte wszystkie szkodliwe, bezzasadne, sprzeczne z potrzebami nauki zarządzenia, dopóki nie naprawione są krzywdy i szkody w tej dziedzinie wyrządzone.

Najściślej jest z tym związana sprawa druga, również ogromnej wagi — rola uniwersytetów w życiu kulturalnym szerokich rzesz inteligencji. Nie tak dawno jeszcze sale wykładowe stały otworem dla każdego interesującego się nauką, wykłady, odczyty publiczne, dyskusje organizowane przez koła naukowe przyciągały tysiące słuchaczy, których pomieścić nie mogły największe audytoria. Wśród nich zaś przynajmniej połowa to żądni wiedzy ludzie z poza uniwersytetu. Właśnie nie członkowie korporacji, lecz pragnąca rozszerzyć swój horyzont myślowy inteligencja pracująca, nie skostniali jeszcze w „belferce" nauczyciele oraz młodzież, często ta, której warunki nie pozwoliły wstąpić na uniwersytet.

Już półtora roku temu próbowaliśmy ująć w cyfry straty jakie ponosi społeczeństwo. Wg skromnych obliczeń — wykładów, referatów, dyskusji na U.J.P. wysłuchało w ciągu roku (w owych jakże szczęśliwych czasach) łącznie ok. 20 tys. ludzi z poza uniwersytetu. W naszych warunkach, gdzie dzieła naukowe wydaje się w 500 egzemplarzach, a jeszcze częściej nie wydaje się ich wcale, jest to cyfra naprawdę imponująca. Uniwersytet spełniał rolę, do której powołało go społeczeństwo; panowała jeszcze wówczas atmosfera pracy.

Ale i tu pierwsze wystąpienia szumowin dały asumpt do radykalnej reformy, do likwidacji tej ważnej misji uniwersytetu.

„EPOKA" nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA" kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS", „PRAWDĘ", „OGNIWO", „SPOŁECZEŃSTWO".

„EPOKA" pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI I NIEPODLEGŁOŚCI.

Między społeczeństwem a uczelnią wzniesiono mur i tylko „wieść gminna" opowiada niekiedy o szerzącej się w murach zarazie. Uniwersytet awansował do roli zamkniętego zakładu dla panien z dobrych domów, kursu przygotowawczego dla ustosunkowanych reflektantów na dobre posady.

Zdumienie ogarnia, że przemianom tym patronowali najwięksi luminarze, którzy i dziś zdają się nie rozumieć konsekwencji własnych poczynań, uważając snadź rozpaczliwą sytuację za dopust boży, przypisując ją jakimś poza ziemskim czynnikom.

Po stokroć prawdziwe jest twierdzenie prof. Bartla, że senaty akademickie z całą zaciekłością zwalczały każdą próbę samoobrony ze strony chcącej pracować młodzieży, utrudniały pracę organizacjom naukowym broniącym swej niezależności. Normalnym argumentem władz akademickich, że dany odczyt odbyć się nie może — było podkreślanie, iż nie życzy sobie tego grupa grasujących w „terenie" opryszków.

Zachodziły fakty najprzedziwniejsze: znani całemu uniwersytetowi ze swoich krwawych wyczynów gangsterzy cieszyli się pełną bezkarnością — *a senat zawieszał profesorów, którzy ośmielili się dostrzec niebezpieczeństwo!* Wobec jawnie stosowanego systemu protekcyjnego odium siania zamętu spadało na te, jakże nieliczne, jednostki z pośród grona profesorskiego, które z prawdziwym bohaterstwem walczyły o prawo do uprawiania nauki.

Oto zaledwie drobny przyczynek do stanu faktycznego istniejącego na wyższych uczelniach. Pytamy, w imię czego dokonano tego przewrotu? Czyż ośmieli się ktoś twierdzić, że zdławiono nasze wątłe życie naukowe, otworzono na ścieżaj bramy zalewowi kołtuństwa i chuliganerii w imię „spolszczenia" nauki?! Pisaliśmy półtora roku temu, że zjednoczony obskurantyzm zwyciężył na wyższych uczelniach, a symbolem tego zwycięstwa jest fakt, że władze uczelniane pozwoliły narzucić sobie warunki, będące w gruncie rzeczy zaprzeczeniem wymagań oświaty, kultury i nauki.

Jesteśmy dziś bogatsi o kilka lat doświadczenia. Pieczołowicie ochraniany system zaczął już owocować. To też nie podejmujemy dyskusji w sprawie ghetta. Sądzimy, że tym którzy jeszcze teraz nie są zdolni dostrzec następstw własnych posunięć, nic już nie pomoże. Skończą żywot w cuchnącym bagnie marazmu pozostawiając po sobie pamięć odrodzonej po 110 latach grabowszczyzny.

Stawiamy te oskarżenia z całą świadomością ich wagi.

W imię dobra nauki polskiej, która nie może zależeć od „emocjonalnych" poczynań nieodpowiedzialnych jednostek czy grup — domagamy się radykalnej i bezkompromisowej zmiany systemu. Musi odpaść wszystko co wypływałoby z urażonej godności, z obawy przed rozwianiem mitu czyjejś nieomylności.

Kończymy słowami pisanymi w 1937 r. w „Epoce":

Przywrócenie uniwersytetowi roli wszechnicy, przywrócenie warunków swobodnej działalności organizacjom naukowym, skupienie przy uniwersytecie całej młodej nauki polskiej — oto postulaty domagające się natychmiastowej realizacji. Urzeczywistnienie ich będzie zarazem potężnym ciosem w ciemne siły sięgające po ster naszego życia kulturalnego.

W. K. BIEŃKOWSKI

Dekada polityczna

Uwaga na manewry!

Przeżywamy okres „mocnych" deklaracji mocarstw zachodnich. Przyczyny tych „mocnych" wystąpień są jasne. Mimo tragedii hiszpańskiej nastąpiło poważne wzmocnienie objektywnej sytuacji tych mocarstw. Staje się rzeczą coraz wyraźniejszą, że wielkim aspiracjom osi odpowiada wprawdzie wielkość jej apetytów, ale bynajmniej nie realnych sił. W poezji mierzy się siły na zamiary. W polityce sprawa jest o wiele trudniejsza. Sytuacja gospodarcza osi jest fatalna. Sytuacja surowcowa tak samo. Sytuacja wewnątrz-polityczna także: nawet do ślepych i głuchych dyplomatów, akredytowanych przy rządzie berlińskim i rzymskim, dotarły już jakieś niejasne wiadomości, świadczące, że przecież przeciętny Michel czy Antonio nie kwapi się znowu tak bardzo umierać za powiększenie władzy tych, którzy nad nim, bez jego zgody, panują. Przewaga zbrojeń, jaką oś w pewnym stopniu uzyskała w okresie przed- i po-monachijskim, zostala już niemal wyrównana przez intensywne zbrojenia Zachodu i niedługo ustąpi miejsca wyraźnej jego przewadze zbrojnej. Wreszcie Stany Zjednoczone wypowiedziały się wyraźnie po stronie mocarstw pokojowych. Wszystko to wzmocniło w poważnym stopniu nastroje wśród społeczeństw Zachodu, wzmocniło pozycję „stronnictwa oporu" wśród tych społeczeństw. Fatalne gaffy popełniane przez nadmiernie gorliwych kapitulantów (p. Bonnet dzierży prym w tej dziedzinie) przyczyniły się jeszcze bardziej do osłabienia ich pozycji. Monachium śródziemnomorskie, przygotowywane troskliwie i starannie od dłuższego już czasu, może się rozbić, gdyż kapitulantom może władza wyślizgnąć się z rąk. Niebezpieczeństwo (niebezpieczeństwo dla osi, niebezpieczeństwo dla Berlinternu, niebezpieczeństwo dla domu Rotszyldów i Royal Dutch) jest bardzo groźne.

Pozostaje jeden sposób, wypróbowany w okresie Monachium: „markowanie" nieustępliwości. Groźne słowa, za którymi idą zdradzieckie czyny. Deklaracje o solidarności angielsko - francuskiej, o nienaruszalności Imperium francuskiego, za którymi idzie milczące

akceptowanie wzmocnienia garnizonów włoskich w Libii i jawne, głośne już, uznanie gen. Franco. „Markowaną“ nieustępliwością kapitulanci chcą zyskać w swych społeczeństwach kapitał moralny, niezbędny dla dokonania nowej kapitulacji. I równocześnie, oczywiście, snują delikatne nici porozumień, które mają upewnić partnerów z Berlina i Rzymu, że ta kapitulacja przecież w swoim czasie nastąpi. Oczywiście w ten sposób rozzuchwala się tylko oś, ośmiela się jej wodzów do formułowania żądań, które później będzie można odrzucić doprawdy już tylko z bronią w ręku. Jeśli wojna przyjdzie, to winowajcami jej, obok sztabu Berlinternu, będą ci zachodni mężowie stanu, co swą, podyktowaną im przez ich polityczne sympatie lub grupowy interes, polityką kapitulacji doprowadzili do stanu, z którego jedynym wyjściem będzie doprawdy tylko apel do broni.

Będziemy w najbliższej przyszłości świadkami wielu „mocnych“ deklaracji starych i przekonanych, niezmiennych monachijczyków. Obóz demokratyczny powinien w ocenie tych deklaracji wystrzegać się najlżejszej bodaj łatwowierności. I w przededniu Monachium nie brak było takich „mocnych“ deklaracji. Trzeba mniej słuchać słów a więcej patrzeć na ręce.

Targi o Tunis. Za kulisami „groźnych“ słów pp. Daladiera, Bonneta e tutti quanti trwają pertraktacje. Jeździ p. de Brinon, nazwany parę dni temu przez sekretarza Senatu francuskiego po prostu „szpiegiem niemieckim“, jeździ przyjaciel Chamberlaina, lord Londonderry, ten sam, który jako angielski minister lotnictwa ukrywał tak długo przed kolegami z gabinetu brytyjskiego dostarczone mu przez Intelligence Service informacje o rozbudowie niemieckiej floty lotniczej, aż W. Brytania stanęła wobec nieodwołalnego faktu dokonanego. Jeżdżą inne osobistości, mniej może głośne, a wszystkie pociągane na sznurkach przez pp. Bonneta i Chamberlaina, mężów zaufania wielkiego Royal Dutch Shell.

Wygląda na to, że w pertraktacjach doszło rzeczywiście narazie do pewnych trudności. Chodzi, zdaje się, o to, że pp. Daladier i Bonnet gotowi są wprawdzie oddać Dżibuti i t. p., ale nie mogą okazać się zbyt ustępliwymi na punkcie Tunisu. Deklaracja solidarności amerykańskiej na tyle wzmocniła stronnictwo oporu, że trudnoby im było w jakiejkolwiek formie podać to opinii publicznej karmionej ciągle zapewnieniami o nienaruszalności terytorium francuskiego. Przecież nawet uznanie gen. Franco p. Daladier motywował... koniecznością utrzymania twardej pozycji wobec pretensji włoskich! To też zaufani p. Bonneta rozpaczliwie tłumaczą swym włoskim i niemieckim rozmowcom, że powinni bodaj na razie zrezygnować ze zbyt daleko idących żądań. W tym samym kierunku działa dyplomacja p. Chamberlaina.

Trudno określić, jakie będą wyniki tych zabiegów. Niewątpliwie spotykają się one ze zrozumieniem w niektórych ośrodkach osi: w konserwatywnych, związanych z domem królewskim, kołach Rzymu, ale także i w otoczeniu kanclerza Hitlera. Pamiętajmy, że podstawową koncepcją kanclerza Hitlera jest europejskie Imperium Germanicum, rozciągające się daleko na stepy Wschodniej Europy. Tylko konieczność uspokojenia włoskiego sojusznika, który był rozgoryczony zbyt długim przyglądaniem się podbojom niemieckim i groził odskoczeniem od osi, zmusiła Führera niemieckiego do zawrócenia marszu swych batalionów na Zachód. Uśmiecha mu się niewątpliwie porozumienie, które, zapewniając jego przyjacielowi rzymskiemu wcale pokaźne zyski, pozwoliłoby jemu samemu powrócić równocześnie na ukochane przezeń tereny naddunajskie, w Karpaty, nad brzegi Morza Czarnego.

Na razie jednak do porozumienia zdaje się nie doszło. I dlatego jesteśmy świadkami wielkiej ofensywy pogróżek i groźnych gestów z obu stron. Manewr szantażowy osi działa. Panowie z Rzymu i Berlina wiedzą, że, skoro dojdzie do ostatecznej ugody, te ich groźne gesty bynajmniej nie będą przykre ich monachijskim druhom. Przeciwnie, będą się na nie powoływali, jako na dowód wielkich czynów, jakich dokonali, ratując raz jeszcze pokój europejski. A jeśli do ugody nie dojdzie — wtedy mobilizacja moralna i materialna może się okazać wcale, wcale pożyteczną.

Hiszpania zaprzedana. Tragedia hiszpańska zdaje się dobiegać końca. Nie wiemy, co się w tej chwili dzieje w Madrycie — informacje wszystkich, już bez wyjątku, od Stefaniego do Havasa, ajencji prasowych stoją dziś na służbie propagandy gen. Franco. Ale wiemy, że w najbliższym czasie flota włoska i niemiecka, z formalną już zgodą Anglii i Francji, odetnie ostatnie morskie linie dowozu amunicji do okręgu centralnego, że dywizje włosko-maurytańskie, które pójdą pochodem na Madryt, znajdą się w obliczu przeciwnika, który będzie musiał oszczędzać nabojów. Wiemy, że cała reakcja francuska i angielska czeka tylko na upadek ostatnich bastionów Republiki.

Głęboką nienawiścią klasową, tą samą, która zrodziła rzezie masowe 1848 i 1871 r. tłumaczy Leon Blum pozycję większości parlamentu francuskiego w sprawie Hiszpanii. Jest w tym niewątpliwie wiele prawdy. Bo co do złudzeń o przeciągnięciu gen. Franco na stronę Zachodu, to każdy dzień, jaki mija, przynosi niepoprawnym iluzjonistom nowe rozczarowania. Właśnie w czasie pobytu p. Berarda w Burgos gen. Franco uznał za stosowne złożyć przedstawicielom prasy włoskiej oświadczenie o intrygach obcych, którym nie uda się zakłócić jego ścisłej współpracy z osią. Jako ilustracja tej współpracy niech posłuży fakt, notowany zresztą i przez prasę polską, że defiladę zwycięskich wojsk gen. Franco w Barcelonie otwierał... włoski generał Gambara na czele włoskich oddziałów. Czy można się zatem dziwić, że prasa gen. Franco bierze jawnie stronę osi w konflikcie śródziemnomorskim?

Polityce zagranicznej gen. Franco odpowiada i polityka wewnętrzna. W Barcelonie szaleje teror „piątej kolumny“. Rozstrzeliwuje się masowo na mocy sądu i bez sądu działaczy republikańskich, nawet najbardziej umiarkowanych. Min. spraw wewnętrznych i przyszły premier Hiszpanii faszystowskiej, bliski powinowaty generała Franco, p. Francesco Suner oświadczył wręcz prasie, że cała ludność Barcelony jest „chora moralnie“ i musi być przez dłuższy czas traktowana jako chora. P. minister nie powiedział, ale jego praktyka świadczy o tym doskonale, że, jego zdaniem, najlepszym lekarstwem na tę chorobę są kule plutonów egzekucyjnych. Tego rodzaju polityka wewnętrzna uzależnia gen. Franco jeszcze bardziej od mocarstw osi. Nie można bowiem marzyć o pogodzeniu z tymi, których się rozstrzeliwuje masowo. Im bardziej p. Suner traktować będzie

jako „chory moralnie“ cały lud hiszpański, tym bardziej jedyną jego „zdrową moralnie“, podporą będą bandy włosko - niemiecko - mauretańskich najemników. Hiszpania pozostaje ważną pozycją w rękach osi.

Oś grozi. Oparta o pozycję hiszpańską, oś gotuje się do rozgrywki kolonialnej. Zdaje się, że formalne zgłoszenie żądań nastąpi natychmiast po zajęciu Madrytu przez Włochów gen. Franco. Na razie ogień artyleryjski kampanii prasowej trwa i dokonywuje się koncentracja wojsk.

„Kiedy nowe warunki uniemożliwiły dalsze istnienie stanu dotychczasowego, ma się do wyboru tylko dwie możliwości: wkroczyć na czas i dokonać zmiany albo ryzykować wybuch“ — pisze Frankfurter Zeitung. „Jeśli nam nie dadzą tego, czego żądamy, weźmiemy to sobie siłą, nie pytając się nikogo“ — akompaniuje jej faszystowski „Resto del Carlino“. „Anglia i Francja — nęcą półurzędowe „Relazioni Internazionali“ — mogą uratować pokój, spełniając słuszne żądania włosko-niemieckie“. Bagatela!

Równolegle odbywa się koncentracja wojsk. Stale i systematycznie Włochy powołują pod broń coraz to nowe roczniki rezerwistów. Kolonialne oddziały niemieckie pojawiły się już we włoskiej Libii. Tamże znajdują się generałowie niemieccy, oraz włoski gen. Udet, (teoretyk „wojny błyskawicznej“). Sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi wojsk białych i kolorowych skoncentrowanych jest na pograniczu Dżibuti i Tunisu. Wszystko wygląda na przygotowywanie możliwości nagłego, niespodziewanego ataku.

Kontrdemonstracje anglo-francuskie. Na te pociągnięcia osi. Francja i Anglia reagują kontr-pociągnieciami. Flota brytyjska odbywa manewry koło Gibraltaru. Cała niemal flota francuska skoncentrowana jest u wybrzeży afrykańskich. Francja wysyła masowo amunicję do Tunisu, oddziały Senegalczyków do Dżibuti. Niewątpliwie, sztab francuski traktuje na serio te pociagnięcia. Ale co myślą o tym premier i minister spraw zagranicznych?

Na razie mówią twardo. Ocenialiśmy te mowy już wyżej. Tak samo ocenić trzeba kilkakrotne wystąpienia ostrzegawcze Chamberlaina i Halifaxa. Ileż takich ostrzeżeń było w lecie poprzedniego roku przed lotem do Berchtesgaden! Trzeba to powiedzieć wyraźnie: mimo niewątpliwego wzrostu nastrojów opozycyjnych, nastrojów oporu w obu krajach, ster rządów pozostaje mocno w ręku kapitulantów. A dopóki tak jest, należy się liczyć przede wszystkim z nowymi kapitulacjami.

Oś na Dalekim Wschodzie. Do wzmocnienia stronnictwa oporu przyczyniają się niewątpliwie wiadomości z Dalekiego Wschodu. Nie tylko Japonia atakuje tu pozycje mocarstw zachodnich. Także i pozostałe mocarstwa osi rozwijają na tym terenie coraz żywszą działalność.

Włochy podjęły ostatnio żywą działalność wśród muzułmanów Oceanu Indyjskiego. Sułtanat malajski Johore, należący do brytyjskiej sfery wpływów, położony tuż obok Singapuru, jest w tej chwili głównym ośrodkiem wysiłków włoskich. Z Johore nici włoskiej robótki prowadzą na kontynent azjatycki, do mahometańskich władców Haiderabadu i Bhopalu w Indiach, oraz do kolonii holenderskich, do Surakarty i Dżokiakarty na Jawie.

Wysiłki włoskie spotykają się tu zresztą z robotą niemiecką, szczególnie aktywna na Jawie i Sumatrze. Rzecz charakterystyczna, że robótka ta nie znajduje absolutnie poparcia stronnictw narodowych Indii Brytyjskich i Holenderskich. Znane jest, obsolutnie wrogie osi, stanowisko Kongresu Narodowego hinduskiego. Analogiczną pozycję zajmuje ludność tubylcza Indii holenderskich, której partie protestują jaknajdobitniej przeciwko zakusom niemieckim na swą ojczyznę. Właśnie w obliczu niebezpieczeństwa niemieckiego, administracja holenderska zdecydowała się na znaczne ustępstwa dla tej ludności.

Robótka włosko-niemiecka znajduje, poza garstką kupnej arystokracji tubylczej, oparcie przede wszystkim wśród kolonistów holenderskich, werbowanych przez hitlerowską grupę holenderską Musserta. Grupa ta obiecuje im zniesienie, w razie przejęcia kolonii przez Niemcy, wszelkiego „zgniłego liberalizmu“ w stosunku do tubylców. Jej organy występują przeciw zarządzeniom obronnym władz holenderskich, propagują jawnie kapitulację, proponują jak najdalej idace ustępstwa dla Rzeszy. Targowica wszędzie jest ta sama.

Gibraltar, Singapore, Hainan, Sumatra! Trudno doprawdy się dziwić, że w gabinetach Intelligence Service poważni gentlemani coraz bardziej zastanawiają się nad polityką konserwatywnego premiera Wielkiej Brytanii!

Przemiany w Jugosławii. Pisaliśmy już o upadku p. Stojadinowicza i jego możliwych następstwach. Zanotujemy fakt jeden, niezwykle charakterystyczny. Oto na terenie Kroacji jedyną grupą miejscową (poza starostami serbskimi), która wypowiedziała się przeciwko demokratycznej liście Maczka, a więc za Stojadinowiczem, była grupa faszystów kroackich, dawnych „Ustaszi“ p. Ante Pawelicza, tego samego, który organizował zabójstwo króla Aleksandra. Pod ochroną policji p. Stojadinowicza, grupa ta rozdawała swe (formalnie nielegalne) pismo, ozdobione podobizną p. Pawelicza, z jego płomiennym artykułem wstępnym przeciwko Maczkowi. „Opozycyjni“ i rządowi przyjaciele Berlina wspomagali się nawzajem.

Nie wiele pomogła p. Stojadinowiczowi ta pomoc „Ustaszi“. Jak wiadomo, na terenie Kroacji, lista demokratycznej opozycji, mimo tricków wyborczych, mimo jawnych wyborów odniosła triumfalne zwycięstwo. Pomoc zaś p. Pawelicza nie poprawiła za to opinii p. Stojadinowicza w oczach serbskich, choćby w oczach ks. regenta Pawła, bądź co bądź brata zamordowanego króla Aleksandra. P. Stojadinowicz poszedł na zieloną trawkę.

Nowy rząd wniósł już do parlamentu projekt ustawy o pełnomocnictwach pozwalających na zmianę,

na podstawie dekretu Regencji, ustawy prasowej, ustawy o zgromadzeniach, ustawy o organizacjach politycznych, wreszcie — co najważniejsze — ordynacji wyborczej, przy czym pierwszą zmianą ma być wprowadzenie tajnego głosowania. Są to wszystko punkty, zgodne z domaganiami demokratycznej opozycji, która sprzeciwia się jakimkolwiek zmianom, dokonywanym przez stojadinowiczowską skupczynę, gotowa jest natomiast uznać prowizoryczne akty tego rodzaju, podjęte przez Koronę, jako przedstawicielstwo państwa, aż do zebrania nowej, na zasadzie demokratycznej ordynacji wybranej, Konstytuanty.

Pozostaje tylko oczekiwać, jaki użytek zrobi p. Cwetkowicz ze swych pełnomocnictw. Wiele będzie tu, niewątpliwie, zależało od wypadków rozgrywających się w polityce międzynarodowej.

Czechy pod butem pruskim.

Na pochyłej równi „Gleichschaltungu", toczą się coraz dalej Czeczy. Mówi się o ustąpieniu gen. Syrowego, obciążonego antyniemiecką przeszłością. Została rozwiązana praska Rada Miejska, a burmistrz Pragi, dr. Zenkl, przyjaciel Benesza, wybrany przez ludność stolicy, został zastąpiony przez mianowańca partii Jedności Narodowej. P. Beran już daje do zrozumienia, że nawet ostrożne, umiarkowane Narodowe Stronnictwo Pracy ma ulec likwidacji. Jak „Gleichschaltung" to „Gleichschaltung".

„Gleichschaltung" nie dotyczy jedynie Niemców. Oni nie podpadają pod władzę p. Berana. Im wolno posiadać własną partię (oczywiście, hitlerowską), własne bojówki, własne mundury i sztandary. Co więcej p. Beran uwolnił ich od obowiązku służby wojskowej. Wolno im zato odbywać tę służbę — w szeregach Reichswehry. Słowem—Niemcy w Czechach, to coś w rodzaju Europejczyków w Chinach przed dwudziestu laty. Każdy z nich korzysta z praw pełnej, dyplomatycznej eksterytorialności. Oczywiście, jeśli tylko jest wiernym żołnierzem Führera.

Ale bodaj szczytem „Gleichschaltungu" jest to plucie w twarz wszelkiej tradycji narodowej, to płaszczenie się przed zwycięskim wrogiem, w jakim celują wodzowie czeskiego neo-nacjonalizmu. Oto, co mówił niedawno p. Józef Czerny, wiceprezes partii Jedności Narodowej: „Jedność Narodowa wytycza nowe szlaki polityki, która będzie bardziej moralna i bardziej ideowa, **Monachium uzdrowiło nas raz na zawsze, definitywnie i ostatecznie.** Nie będziemy uprawiali polityki chorobliwej manii wielkości..."

Monachium uzdrowiło pana Czernego... Wątpimy, by naród czeski też czuł się uzdrowiony tą operacją.

P. Rewaj w Berlinie.

Skoro p. Czerny tak się cieszy, że znalazł się pod pruskim butem, cóż dziwnego, że minister najmłodszej i najmniejszej republiki jego państwa, p. Rewaj udał się po natchnienie do Berlina. Przecież tuby prasowe rządu ks. Wołoszyna podają w formie komunikatów urzędowych każdy szczegół działalności konsula niemieckiego w Huszcie, każdą jego podróż do takich ośrodków światowego znaczenia jak Swalawa czy inna Jasina. Przecież to niemieckie pieniądze pozwoliły na zbudowanie w rekordowym czasie gościńca z Husztu do Praszowa. Przecież to esseńska „National-Zeitung" organ osobisty marszałka Goeringa, protestowała ostatnio przeciw wypuszczeniu na wolność p. Brodija. Przecież to można niemiecka protekcja uratowała p. Rewaja od madziarskich apetytów. Cóż dziwnego, że i teraz pan Rewaj jedzie do Berlina po braterską pomoc i radę?

Otrzymał, widać, tę radę, gdyż oto co oświadczył przedstawicielowi esseńskiej „National-Zeitung": Zbierze się w najbliższym czasie Sejm Zakarpackiej Ukrainy. Sejm ten ma prawo proponowania ministrów. Prezydent Republiki będzie mógł mianować skład rządu tylko z pośród osób, proponowanych przez Sejm. Czeski generał Prchala do tych osób należeć nie będzie".

Nie pomógł p. Prchali podpis na odezwie wyborczej Wołoszyna. Berlin nie chce mieć niczyich kontrolerów na Zakarpaciu. Dodajmy rzecz ciekawą: na otwarciu Sejmu zakarpackiego obecni będą przedstawiciele Ukraińców z Polski, Rumunii a także emigracji petlurowskiej z Sowietów. Równocześnie w Wiedniu wygłosili odczyty o Zakarpaciu p. dr. Koch, ten sam, który odwiedził niedawno nasze województwo południowe, oraz sędziwy teoretyk imperializmu niemieckiego, p. Rohrbach. Na odczycie p. Kocha byli obecni m. i. hitlerowski burmistrz Wiednia, ukraiński generał Kurmanowycz, oraz były generał Hałyćkiej Armii, Niemiec z pochodzenia, p. Krauss. Alles, wie vorgesehen. Wszystko jak przewidziano. Przygotowuje się pozycje do następnej, po Monachium śródziemnomorskim, operacji.

Polityka zagraniczna całej demokracji polskiej.

Nie poruszamy w tej rubryce z sadady wydarzeń z dziedziny polityki wewnętrznej kraju. Jeśli tym razem zrobimy wyjątek dla ostatnich uchwał Rady Naczelnej P. P. S. — to stanie się to przede wszystkim z tej przyczyny, że dotyczy ona bezpośrednio problemów polityki międzynarodowej. Zacytujemy w całości odnośne ustępu:

„Ofensywa demokracji w skali międzynarodowej, a zwłaszcza demokracyj będących u władzy pań-

DEMOKRACJA POLSKA PRZEZ WIEK CAŁY WALCZYŁA „ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ". DZIŚ FASZYZM WALCZY „ZA WASZĄ I NASZĄ NIEWOLĘ".

stwowej jest niezbędnym warunkiem rozwoju i powodzenia walk z faszyzmem. Dlatego też Rada Naczelna odrzuca tak zwany neutralizm i politykę wygrywania rzekomych różnic między hitleryzmem i faszyzmem włoskim, a w szczególności plany „dogadania się" w zakresie dążeń do pokoju i rozbrojenia. Ale nade wszystko Rada Naczelna zwalcza pomysły niektórych rządów państw demokratycznych — zwołania konferencji mocarstw, na której miałyby być rozstrzygnięte wszystkie pretensje, zgłoszone przez Włochy i III Rzeszą. Byłoby to przygotowanie „nowego Monachium", za które państwa słabsze musiałyby zapłacić swoją suwerennością i utratą terytoriów.

Polska musi się przeciwstawić wszelkim próbom regulowania żądań III Rzeszy za cenę tak zwanego „pokoju".

Rada Naczelna, stojąc niezłomnie na stanowisku pokoju prawdziwego i popierając każdy wysiłek Polski w interesie utrzymania pokoju, oświadcza, że masy pracujące zorganizowane w Polskiej Partii Socjalistycznej i bratnich organizacjach zawodowych, przeciwstawią się każdej próbie naruszenia praw Polski do jej całości i niepodległości".

Uchwały te odpowiadają nie tylko jednomyślnemu stanowisku całego ruchu robotniczego Polski, ale również stanowisku Stronnictwa Ludowego i Klubów Demokratycznych, stanowisku całej demokracji Polski. Niema monachijczyków w szeregach demokracji Polskiej!

Machiavelli — prekursorem Mussoliniego?

I.

Machiavelli stał się ostatnio znowu niezwykle popularny. Na ogół tłumaczy się to powrotem do metod t. zw. makiawelskich, które — słusznie czy niesłusznie — widzi się w polityce państw totalnych. Jeden stąd krok do utożsamienia faszyzmu z makiawelizmem, krok zresztą przebyty już dawno przez samego Mussoliniego. Przed wszystkimi zwolennikami i wrogami faszyzmu otwiera się szerokie pole do snucia bardzo pomysłowych analogii.

A jednak współczesna obszerna literatura o Machiavelu, oparta właśnie na analogiach historycznych i przeważnie z myślą o nich pisana, nie wnosi na ogół nic nowego do naszej wiedzy o wielkim Florentyńczyku. Zawodzą analogie między faszyzmem a makiawelizmem, gdyż nie tłumaczą nam ani istoty faszyzmu ani też nie są bynajmniej dowodem ciągłości tradycji faszystowskiej.

Kim więc był Machiavelli? Patriotą? Niewątpliwie. Monarchistą czy republikaninem, zwolennikiem wolności czy niewoli? Co stawiał wyżej — instynkt społeczny tłumu czy też zdolności kierownicze jednostki?

Trudno na te pytania odpowiedzieć kategorycznie. Najlepszym tego dowodem jest mnogość zdań o Machiavelu, zdań odmiennych i często wręcz ze sobą sprzecznych. Możnaby właściwie sprzeczności te tłumaczyć sprzecznościami, zawartymi w samej twórczości wielkiego Włocha i po tej linii kroczy większość komentatorów Machiavela. Wydaje się jednak, że Machiavelli przez całe swe życie reprezentował tę samą ideę, aczkolwiek rozmaicie zapatrywał się na drogi, prowadzące do jej urzeczywistnienia.

Machiavelli w okresie pierwszym swej twórczości, w czasie pisania książki o Liwiuszu — to demokrata, zdecydowany i bezkompromisowy. Bada on, w jaki sposób Rzymianie doprowadzili swe państwo do rozkwitu i w toku swych badań staje się gorącym zwolennikiem wolności. „Nie bez racji, pisze on, głos ludu nazwano głosem Boga. Widzimy, że opinia publiczna przewiduje wypadki w sposób tak cudowny, że możnaby powiedzieć, iż lud obdarzony jest tajemniczą zdolnością przewidywania zła i dobra". Republika, zdaniem Machiavella, jest wyższa od monarchii, gdyż pozwala na wybijanie się nowych ludzi, gdyż umie przystosowywać się do zmiennych warunków, czego nie potrafi sztywna i skostniała monarchia. Machiavelli jest zwolennikiem republiki, ponieważ tylko ta forma ustrojowa kierowana jest przez instynkt społeczny ludzkości i tylko w republice możliwa jest wolność.

Poglądy Machiavela mogły uchodzić i rzeczywiście uchodziły w owym czasie niemal za herezję, gdyż prowadziły do zwątpienia w boskie pochodzenie władzy; słusznie też pisze Marks w „Gazecie Reńskiej", że „...Machiavelli... (i inni) zaczęli patrzeć na państwo ludzkimi oczyma i wyprowadzali jego prawa z rozumu i doświadczenia, nie zaś z teleologii".

„Książę" jest na pozór zupełnym odwrotem od idei, głoszonych przez Machiavela w młodości. Wizerunek księcia, stworzony przez Machiavela w „Il Principe", był tak odrażający i niezgodny na pozór z duchem poprzednich dzieł wielkiego polityka, że niektórzy chcieli widzieć w „Księciu" raczej satyrę na ówczesne stosunki polityczne. Tak pisze np. Rousseau w „Umowie społecznej": „Machiavelli był uczciwym człowiekiem i dobrym obywatelem, ale... był on zmuszony... ukrywać swoją miłość do wolności." Sam wybór swego wstrętnego bohatera (Cezarego Borgii) wskazuje dostatecznie na intencję ukrytą, a sprzeczność zasad w jego książce o „Księciu" i książkach „Rozprawa o Tytusie Liwiuszu" oraz „Historia Florencji" wskazuje, że ten głęboki polityk miał dotychczas jedynie czytelników powierzchownych lub zepsutych. Dwór rzymski zakazał surowo jego książki. Rozumiem to. Ten dwór właśnie odmalował on najjaskrawiej".

OLBRZYM POTĘGI, LUD, JEST SŁABYM KIEDY O SWOJEJ SILE NIE WIE I DAJE SIĘ DESPOTYZMOWI POGANIAĆ I ĆWICZYĆ JAKBY STADO BYDŁA; STAJE SIĘ MOCNYM, SKORO SIĘ NA NIEJ POZNA; Z TAKIEJ WIEDZY WYNIKA SIŁA, ZA NIĄ IDZIE WOLNOŚĆ.

HENRYK KAMIEŃSKI

„Książę" jest niewątpliwie najbardziej znanym dziełem Machiavela, to też nie ma potrzeby dokładniej zastanawiać się nad jego treścią. Wystarczy przypomnieć, że „Książę" jest apotezą okrucieństwa, bezwzględności i przebiegłości w rządzeniu państwem. „Książę powinien wziąć za wzór lwa i lisa, albowiem lew nie umie unikać sideł, a lis bronić się przed wilkami. Trzeba przeto być lisem, by wiedzieć, co to sidła i lwem, by postrach budzić u wilków. Nie rozumieją się na rzeczy ci, którzy wzorują się wyłącznie na lwie". Zachowanie pozorów cnoty i niegardzenie żadnym podstępem, popieranie słabych przeciw silnym i wypalanie wolności — to są dalsze metody księcia. „Nie ma innego sposobu utrzymania podbitych miast, jak tylko zburzenie ich. A kto opanuje miasto przyzwyczajone do wolności, a nie niszczy go, oczekuje, że sam zostanie przez nie zgubionym, gdyż ono ma zawsze jako oparcie w powstaniu, hasło wolności i starodawne swe urządzenia, które nie idą w zapomnienie ani skutkiem długiego czasu, ani skutkiem otrzymanych dobrodziejstw".

II.

Książę — lew i lis w jednej osobie, dyktator nie gardzący żadnymi sposobami, byle utrzymać się przy władzy , wyznający zasadę, że „cel uświęca środki". Nic dziwnego, że ten wzór Machiavela musiał zwrócić na siebie uwagę faszystów. Rzeczywiście, już przed kilkunastu laty Mussolini, stawiający podówczas pierwsze kroki na polu teorii faszystowskiej po zerwaniu z socjalizmem, pisze pracę doktorską o Machiavelu. Naturalnie przejęcie żywcem przez faszyzm koncepcji machiawelskiego księcia było nie do pomyślenia; faszyzm nie lubi na ogół stawiać na pierwszy plan jednostki jako takiej, nie chce rzekomo władzy dla władzy samej, faszyści lubią stawiać ponad wszystko ideę t. zw. nadrzędną — rację stanu lub państwo. Tak oto wygląda Machiavelli przeszczepiony przez Mussoliniego na grunt faszystowski — wystarczy wszędzie, gdzie Machiavelli mówi o księciu, zamienić go słowem „państwo" i mamy Machiavela à la Mussolini.

Antyteza pomiędzy księciem a ludem, pisze Mussolini, pomiędzy państwem a jednostką jest fatalistyczna. To co było nazwane utylitaryzmem, pragmatyzmem, makiawelskim cynizmem, wynika logicznie z założenia pierwotnego. Słowo „Książę" powinno być rozumiane jako państwo.... i antyteza znika!

A więc wszystko jest dozwolone — największe okrucieństwo i przebiegłość, jeśli popełnia się je w interesie państwa. To co u Machiavela wydawać się mogło cynizmem i utylitaryzmem, staje się w faszyźmie, przynajmniej zgodnie z koncepcją Mussoliniego, mądrą i przewidującą polityką. A wszystko dzięki tej małej zamianie słowa „książę" na magiczny termin Państwo!

Rozwinięciu myśli Mussoliniego poświęcone jest niejedno dzieło uczonych faszystowskich, usiłujących dowieść za przykładem prof. Battaglii, że „polityka jest kategorią autonomiczną, pozamoralną i że umoralnia się dopiero w celu, ku któremu zdąża", gdyż „prawem jest to, co służy narodowi, bezprawiem to, co mu szkodzi". (Frank).

Czyżby Mussolini miał rację, zagarniając Machiavela i czyniąc zeń proroka faszyzmu? By móc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę z warunków społecznych i dynamiki procesu społecznego Włoch makiawelskich.

Włoska burżuazja, do której należał i której heroldem był Machiavelli, była w tym okresie siłą dopiero powstającą; żłobiła sobie dopiero drogę poprzez tysiące przeszkód, stawianych przez istniejący system, ku nowemu postępowemu ustrojowi. Jak każda klasa postępowa, również burżuazja włoska wysunęła w owym czasie hasła wolnościowe i demokratyczne, ściśle łącząc urzeczywistnienie ich z dojściem swym do władzy.

Machiavelli od wczesnej młodości pracuje i zastanawia się nad kwestiami ustrojowymi, bada demokrację starożytnego Rzymu i widząc w niej urzeczywistnienie coraz głośniej rozbrzmiewających idej wolnościowych, dochodzi do wniosku, że ta właśnie forma ustrojowa jest ideałem, do którego należy dążyć.

Tymczasem Włochy ówczesne najmniej może przypominały wzory wyśnione przez Machiavella, najmniej nadawały się do tego, by w prędkim czasie upodobnić się do pięknej ojczyzny Liwiusza. Rozbite na dziesiątki małych państewek feudalnych, Włochy potrzebowały przede wszystkim jednej rzeczy — zjednoczenia; dopiero po upadku wszytkich ograniczeń, wynikających z podziału i z systemu feudalnego, którego przejawem było właśnie istnienie księstewek, można było zabrać się do wielkiego dzieła przebudowy ustroju. Tak rozumował Machiavelli; obecnie jednak z perspektywy historycznej należy stwierdzić wręcz genialność myśli wielkiego Włohca, który ani się spostrzegł, że samo likwidowanie małych państewek mogło stać się i stało się we Włoszech wielkim krokiem naprzód od feudalizmu ku postępowi.

Przede wszystkim zjednoczenie. Machiavelli sadzi, że dzieła tego dokonać może tylko dyktator, likwidując przemocą jedną po drugiej granice wewnętrzne Włoch. Dopiero przekształcenie ojczyzny w jedno państwo pozwoli na wprowadzenie nowego ustroju, wzorowanego na demokratycznych państwach przeszłości.

Dzieje ludzkości są w rozumowaniu Machiavella pewnego rodzaju kołem historycznym. Burżuazja zrodziła Machiavella w chwili swego powstawania, głosząc jego ustami idee **postępu** przez siłę. Burżuazja w okresie upadku po wiekach całych znowu chwyta się teorii Machiavella, próbując uzasadnić konieczność użycia siły dla... **utrzymania starego porządku!** Koło historyczne zamyka się. Machiavelli nie nadaje się do roli obrońcy reakcji, pomimo pozorów metod faszystowskich w „Księciu". Przemoc u Machiavella, chociaż bezwzględna i okrutna, miała na swe usprawiedliwienie dzieło postępu powszechnego, na które w żadnym wypadku faszyzm nie może się powołać.

I to jest różnica między Machiavellem a Mussolinim.

MIECZYSŁAW SYNAL

W najbliższych zeszytach „Epoki" ukażą się między innymi prace: ZOFII NAŁKOWSKIEJ „Fragment życiorysu Wacława Nałkowskiego", ROMANA LANGA „Etatyzm", JERZEGO BOREISZY „O prawo do krytyki", Fragmenty pracy Wacława Nałkowskiego o Stanisławie Brzozowskim, ZDZISŁAWA LIBINA „Antoni Lange", IGN. WOLSKIEGO „Trzech Chamberlainów", MICHAŁA JORDANA „Freudyzm jako światopogląd", recenzje JÓZEFA CZERMIŃSKIEGO, ZYGMUNTA JAROSZA, WŁ. ROMANOWSKIEGO i „Dzieje współczesne w żywych osobistościach".

Z dnia na dzień

REZOLUCJE ENDECKIE.

W kilku największych miastach prowincjonalnych odbyły się niedawno wiece Stronnictwa Narodowego, na których uchwalono wysoce znamienne rezolucje w sprawie międzynarodowego położenia Polski. Rezolucje endeckie stwierdzają:

„...Wzrost potęgi niemieckiej, przewaga Rzeszy w Europie środkowej i plany niemieckie na wschodzie utrudniają położenie Polski. Położenie to staje się tym bardziej skomplikowane, że **z chwilą rozbioru Czecho-Słowacji i prób zaprowadzenia tam faktycznego protektoratu Niemiec, Polska została od Niemna po Prut otoczona wałem niemieckim**".

„W tym stanie rzeczy naród polski musi zdobyć się na wielki wysiłek, by zachować swą niezależną pozycję wobec dążeń ze strony Niemiec poddania naszego kraju ich wpływom gospodarczym i politycznym".

W dalszym ciągu uchwały endeckie bardzo słusznie podkreślają związek między polityką zagraniczną Trzeciej Rzeszy, a krecią robotą hitlerowskich agentur na terenie państw, przeznaczonych do połknięcia przez wszechniemiecki imperializm:

„Podobnie jak w innych krajach Europy środkowej i wschodniej, **Niemcy usiłować będą pozyskiwać od wewnątrz wpływy na nasze życie gospodarcze i polityczne, popierając w szczególności dążenia do takich form ustrojowych, które przez sparaliżowanie twórczej energii narodu polskiego ułatwiałyby im urzeczywistnienie ich planów**".

Na łamach „Epoki" niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na antynarodowy charakter ruchów i ugrupowań faszystowsko-totalnych w krajach, zagrożonych przez imperializm niemiecki. Wskazywaliśmy, że ruchy t. zw. narodowe, wzorowane na berlińskich i rzymskich oryginałach, są w wielu krajach zwykłymi forpocztami i placówkami Trzeciej Rzeszy. Organizacje te, urabiając społeczeństwo w duchu hitlerowskim, paraliżują jego odporność przeciw ekspansji wszechniemieckiej i szczepią mu ideologię Targowicy, kapitulacji przed Berlinem.

ENDECJA REZERWUAREM TOTALIZMU.

Stronnictwo Narodowe ma pod tym względem bardzo ciężkie grzechy na sumieniu. Nie w tym rzecz, że jest ono ruchem prawicowym i nacjonalistycznym. Grzech jego przywódców i ideologów polega na tym, że w ciągu ostatnich lat z zapałem godnym lepszej sprawy pracowali nad całkowitą hitleryzacją swego stronnictwa, że starą reakcję endecką przefasonowali w „nowoczesny" faszyzm. Pod osłoną antysanacyjnej frazeologii i gestykulacji, prowadzili i prowadzą zaciekłą walkę z obozem demokratycznym, który jest jedyną w Polsce realną siłą antysanacyjną a reprezentuje nie tylko postulaty i dążenia rzesz ludowych, lecz także ogólny interes narodu, jego niepodległego bytu państwowego. Paraliżując walkę obozu demokratycznego o wolność i prawo w Rzeczypospolitej, endecja jest pośrednio podporą sanacji. Nie darmo z szeregów Stronnictwa Narodowego wzgl. Obozu Wielkiej Polski wyszli heroldowie najskrajniejszego totalizmu sanacyjnego, wyszli teoretycy i publicyści Ozonu i ONR-ów. Za dużo ich jest, żeby można było zjawisko to traktować jako przypadek, lub oportunizm życiowy poszczególnych jednostek! To jest proces obiektywnie uzasadniony: endecja jest glebą, na której wyrasta bujny plon dla sanacji. Endecja jest rezerwuarem, z którego sanacyjny totalizm czerpie swe siły masowe. Nie może być inaczej. Stronnictwo Narodowe nie jest bowiem żadną siłą antysanacyjną — jest siłą antydemokratyczną.

WIELBICILE OSI.

To samo zjawisko obserwujemy w polityce zagranicznej. Tradycyjnie antyniemiecka endecja w ciągu nie wielu lat stała się ugrupowaniem, które popularyzowało w społeczeństwie politykę hitlerowskiej osi, usypiało czujność narodu wobec berlińskiego niebezpieczeństwa, zapewniało o pokojowych intencjach Hitlera wobec Polski. I to nie młodziki, którym zaimponowały dekoracyjne rekwizyty hitleryzmu, koszulki, pasy koalicyjne, faszystowskie pozdrowienia i bicie Żydów! To stary, bardzo wytrwały endek, p. Stanisław Kozicki z zapałem oklaskiwał sukcesy faszystowskiej osi na równi z publicystami „Gazety Polskiej", „Kuriera Porannego", „Słowa", „Czasu", czerwoniaków i pisemek oenerowskich — a prasa endecka podburzała swych czytelników przeciw „masońskiej" Francji i zohydzała te właśnie, demokratyczne ugrupowania francuskie, które najenergiczniej walczą o pogłębienie współpracy między Paryżem i Warszawą! Ta właśnie prasa, która sama zwie się „narodową", wypisywała hymny pochwalne na cześć agentów berlińskich w różnych krajach Europy! Franco i Codreanu, to mężowie opatrznościowi nacjonalizmu i pionierzy rzekomo narodowej Europy, których za wzór postawiono młodzieży endeckiej, wychowywanej w duchu hitlerowskim.

Dziś dopiero rezolucja endecka alarmuje, że hitlerowskie Niemcy popierają w Polsce „dążenia do takich form ustrojowych, które przez sparaliżowanie twórczej energii narodu polskiego ułatwiałyby im urzeczywistnienie ich planów". Tak jest, o to właśnie idzie hitleryzmowi. Trzeba nazwać rzecz po imieniu, na co przywódcom endeckim oczywiście trudno się zdobyć. Rozumiemy ich przykre położenie. Okazuje się, że ten ustrój polityczny, o którym marzą i który reklamują, jest instrumentem „paraliżowania twórczej energii narodu polskiego" — dla osłabienia jego odporności przeciw wszechniemieckiej ekspansji! Bo nie powiedzą chyba pp. Kowalski, Bielecki i Giertych, że Trzecia Rzesza popiera w tych krajach, na które ma apetyt, ustrój demokratyczny. Chyba przyznają, że ze wszystkich sił i wszystkimi środkami forsuje tam „narodowy" totalizm, który okazuje się pospolitą Targowicą. A przecież endecka opozycja przeciw sanacji — to wcale nie walka o demokrację, o oparcie rządów w Rzeczypospolitej „na szerokich zorganizowanych warstwach narodu polskiego", jak głosi rezolucja Str. Narodowego!

I dlatego rezolucje endeckie, stwierdzając poważne niebezpieczeństwo grożące niepodległości Polski ze strony Trzeciej Rzeszy — nie wskazują koniecznych środków wzmocnienia i uaktywnienia sił obronnych społeczeństwa polskiego, któremu tylko demokracja umożliwi prawdziwe zjednoczenie patriotyczne dla obrony przed grożącą nawałą wszechniemieckiego imperializmu. Rezolucje te, jakkolwiek uznać je trzeba za zjawisko niewątpliwie pozytywne, mają więc charakter najzupełniej platoniczny, werbalny, deklaratywny.

OSTRY WĘCH!

P. Cat-Mackiewicz, naczelny publicysta wileńskiego „Słowa", wystąpił nie dawno z bardzo ostrą krytyką polityki zagranicznej min. Becka. Przypomniał, że polityka ta oddała Trzeciej Rzeszy nieocenione usługi, umożliwiła jej przyłączenie Austrii i Sudetów, co otworzyło Niemcom bramę do basenu naddunajskiego, wzmocniło ich pozycje w Europie środkowej, stało się pierwszym etapem do budowy Mitteleuropy. P. Cat pisze teraz:

„Dyplomacja polska oddała Niemcom w 1938 roku olbrzymie usługi, nie uzyskując wzamian ani uregulowania wieczystego spraw Gdańska czy Kłajpedy, ani uspokojenia w polityce mniejszościowej, ani nawet Rusi Węgierskiej dla Węgier. I dlatego, uważam, że ci, którzy chwalą min. Becka, źle służą Ojczyźnie".

Ale rok 1938 był tylko logicznym następstwem lat poprzednich — powiedzmy, od roku 1934. Cała polityka Hitlera, polityka osi faszystowskiej zmierzała do tego, co stało się w roku 1938. Polska polityka zagraniczna pod kierownictwem min. Becka współdziałała bardzo intensywnie w dziele realizacji tych planów Trzeciej Rzeszy. Przez cały ten czas p. Mackiewicz wraz z całą prasą reakcyjną i antydemokratyczną był gorliwym heroldem polityki, której „osiągnięcia" teraz krytykuje. P. Mackiewicz „zachłystywał" się wtedy sukcesami hitleryzmu, szalał z radości na każdą wieść o niepowodzeniu demokracji i państw demokratycznych, triumfował po każdym zdławieniu wolności, sypał róże pod hitlerowski but. Tych, którzy przestrzegali przed rozluźnieniem i oziębieniem stosunków polsko-francuskich, przed rozkruszeniem pokojowego systemu Ligi Narodów, przed zaangażowaniem się po stronie osi — p. Cat „demaskował" jako wrogów Polski, agentów międzynarodówek, żydowsko-masońskich intrygantów lub (w najlepszym wypadku) idiotów, nabitych w butelkę przez szatańskie moce, czyhające na zgubę państwa i narodu polskiego. Czy przez cały ten czas p. Mackiewicz dobrze służył Ojczyźnie? Czyżby dopiero dziś jego węch polityczny tak się wyostrzył?

CZY TYLKO PROBLEM JEDNOSTKI?

Dziś zagończyk wileński zaleca zbliżenie z Francją. W tym wypadku naprawdę lepiej późno, niż nigdy. To samo zalecają rezolucje endeckie, które poprzednio nazwaliśmy platonicznymi. Bo łatwo przecież zrozumieć, że realizacja tych zaleceń musi napotkać na ogromne trudności, jeżeli nasza polityka zagraniczna nie stanie czym prędzej pod znakiem tych tendencyj, które w ciągu ostatnich czterech lat przeciwstawiały się poczynaniom zachwalanym wtedy przez pp. Mackiewicza i Kozickiego jako kwintesencja patriotyzmu polskiego! Oczywiście — „problem jednostki" ma tu znaczenie bardzo istotne,, jak nie dawno stwierdziła katowicka „Polonia". Ale sprowadzenie całego zagadnienia do problemu jednostki grzeszy rozpaczliwym prymitywizmem — prymitywizmem bynajmniej nie przypadkowym. Problem jednostki jest częścią ogólniejszego i znacznie głębiej tkwiącego zagadnienia systemu. A to zagadnienie zarówno p. Cat jak politycy endeccy chętnie omijają, lub wskazują najmniej istotne, trzeciorzędne jego momenty. Zastanawiają się, jak zmodyfikować system antydemokratyczny. Tymczasem rzeczywistość polityczna stawia zupełnie inne zadanie: demokratyzacji ustroju wewnętrznego Rzeczypospolitej i zerwania z systemem antydemokratycznym. Ale o tym ani słyszeć nie chcą ludzie, którzy tak ostro krytykują dziś politykę min. Becka. I dlatego krytyka ich jest całkowicie platoniczna.

CO TO ZA MELODIA?

„Mamy do czynienia z człowiekiem, od którego żądamy, aby pracował dla Polski. Polska to coś bardzo wielkiego i potężnego. Wiele obcych elementów, przyciągniętych wielkością Polski, zostało przez nią wchłoniętych. Przypomnijmy tylko nazwiska Libelta, Pola, Lindego. Asymilacyjna siła przyciągania Polski działa na każdego ...kto dzisiaj żyje w Polsce i je polski chleb. Każdy... musi z czasem wiązać się coraz bardziej z całością. Tu nie chodzi o miesiące czy lata, ale o dziesięciolecia. Dziesięciolecia są w życiu narodu jak jedna chwila. Panowie sędziowie. Nie wolno wam przy wydawaniu wyroku kierować się przynależnością narodową, ani wyznaniem oskarżonego. Pamiętajcie, że przemoc jest bezsilna zwłaszcza przy procesie asymilacji".

Co to za „zgniły liberał" czy „żydo-mason" głosi w dzisiejszych czasach pogardy, w epoce rasizmu, nowożytnego nacjonalizmu, w dobie Hitlera i Bolesława Piaseckiego takie herezje? Kto tutaj mówi o asymilacji, kto każe, w epoce prawa, kierującego się „potrzebami narodu", (czytaj: interesami samozwańczej „elity"), a nie wymogami sprawiedliwości, ferować wyroki bez względu na narodowość, ba nawet na wyznanie oskarżonego? Dziekan Izby Adwokackiej warszawskiej, wódz „obozu narodowego" w adwokaturze, p. mecenas Nowodworski.

Tylko, że w danym wypadku chodziło nie o Żyda ale o agitatora hitlerowskiego, niemieckiego pastora Gebhardta z Bełchatowa, zasądzonego przez sąd Rzeczypospolitej za szmuglowanie pieniędzy do Rzeszy. Kto nie wierzy, żeśmy przetłumaczyli wiernie tę mowę, niech zajrzy do łódzkiej „Freie Presse", Nr. 57 z dnia 26 lutego 1939.

JAK PRZYPOMINAĆ — TO PRZYPOMINAĆ!

Pan Ipohorski-Lenkiewicz triumfuje w „Czerwonej Róży" z powodu zdobycia Barcelony przez Włochów gen. Gambary, Niemców z eskadry Kondora i Maurów gen. Yague: powstańcy przeszli i poszli dalej. Siły, stawiające na rewolucję hiszpańską, a więc w pierwszym rzędzie Kreml, loże, międzynarodówka brukselska, no i — rzecz prosta — wiadoma „mniejszość", poniosły zdecydowaną klęskę. Na przykładzie hiszpańskim okazało się raz jeszcze, że siły te bynajmniej nie są wszechmocne, że znajdują się w wyraźnym odwrocie i że znaleźć się może zawsze ktoś od nich mocniejszy.

Trzeba to przypomnieć w tej chwili, zwłaszcza wobec następnego zaraz zdania p. Ipohorskiego: „gdyby nam oświadczono, że Polska nagiąć się musi do... „frontowo-demokra-

tycznych" wzorów, gdyby na drogę zjednoczenia twórczych sił narodowych rzucone zostało butne hasło „No pasarán!" przypomnijmy sobie smutne losy tego hasła w Hiszpanii i idźmy spokojnie dalej".

Kiedy już o przypominaniu mowa: niechże p. Ipohorski przypomni sobie dzieła i losy Targowiczan.

CZŁOWIEK UCZY SIĘ CAŁE ŻYCIE

W debacie plenarnej nad budżetem Min. W. R. i O. P. min. Świętosławski oświadczył, że „przeżywamy obecnie okres rozwoju życia gospodarczego i nie możemy uzyskiwać większych sum na realizację powszechności nauczania, rozbudowę szkolnictwa ogólnokształcącego i zawodowego oraz na rozwój nauki, literatury i sztuki".

Przez szereg lat dowodzono nam, że wydatki na oświatę i kulturę muszą się kurczyć, bo jest kryzys gospodarczy: społeczeństwo zbiedniało, mniej wpływa do Skarbu Państwa podatków, trzeba odpowiednio ograniczać wydatki, trzeba oszczędzać. A że na szkolnictwie oszczędzać najłatwiej — bo przecież „Polska się nie zawali (jak mawiał były premier Kozłowski) — więc rzecz zupełnie naturalna, że w okresie najbardziej gwałtownego przyrostu liczby dzieci w wieku szkolnym budżet oświatowy spadł o jedną trzecią. Ale niech no tylko kryzys minie! — wszystko się zaraz naprawi, wydatki wzrosną, oświata znowu się podniesie!

Teraz dowiadujemy się, że na szkolnictwie trzeba oszczędzać nie tylko w czasie kryzysu, ale i przy dobrej koniunkturze. W okresie kryzysu nie było pieniędzy, bo życie gospodarcze zamierało, w okresie ożywienia nie ma pieniędzy, bo życie gospodarcze się rozwija — a rozwój, jak wiadomo, wymaga „środków finansowych".

Tak to człowiek uczy się całe życie...

W odpowiedzi M. Jordanowi

Nie mam zwyczaju odpierać napaści wrogów klasowych. Wszystkie zarzuty jakie spadają na mnie z tamtej strony barykady, mają pobudki zbyt jasne, aby się chciało z nimi polemizować, nawet wówczas gdy swe ostrze polityczne ukrywają w dymnej zasłonie zastrzeżeń natury artystycznej czy moralnej.

Jedyna ważna funkcja, jaką takie napaści mogą spełnić, to utwierdzenie pisarza w mniemaniu, że idzie właściwą drogą i „uderza we właściwy stół" skoro „nożyce się odzywają". To też nigdy by mi na myśl nie przyszło, że będę musiała (pośrednio coprawda) polemizować z p. Wierzbicką z reakcyjnego „Przeglądu Powszechnego".

Ale oto w styczniowym numerze demokratycznej „Epoki" pan M. Jordan, wspierając się cytatami jadowitej recenzji tej pani — zarzucił mi przynależność do „nowego realizmu", który „nie ma nic wspólnego z realizmem psychologicznym, jest mistyfikacją, fałszuje i deformuje rzeczywistość psychiczną na użytek tych, którzy zainteresowani są w deformowaniu wszelkiej rzeczywistości".

„Izolacjonizm psychologiczny, zwężanie problematyki, przeraźliwie ubogi obraz duszy ludzkiej" — powiada recenzując „Potrójny ślad" reakcyjna pani Wierzbicka, a za nią, z całą solidarnością, postępowy pan Jordan.

Jedynym środkiem ratunku z tego ubóstwa są „najrozmaitsze chwyty kompozycyjne" — twierdzą oboje.

W końcu zgodnie dochodzą do wniosku, że mimo tych wszystkich środków ratunku — z powieści mojej „wynurza się postać obracająca się w ciasnym kręgu — pomiędzy tapczanem a telefonem od kochanka".

Równie dziwnie, jak solidarność pana Jordana z demokratycznego pisma z taką reakcjonistką, jak pani Wierzbicka, wygląda fakt, że aby poprzeć swe tezy, przeciwstawia on „nowemu realizmowi" nie takie książki jak „Płomienie" Brzozowskiego, nie takich twórców jak Żeromski choćby, lecz — naprzykład... reakcjonistę Sienkiewicza.

I ciekawa jestem, co się stanie z solidarnością pana Jordana, jeśli pani Wierzbicka pójdzie o krok dalej w swej „krytyce" i po ekshibicjonizmie i psychologicznym ubóstwie, zarzuci mojemu cyklowi, tak jak recenzentka z ABC, że jest „jedną lawiną obelg i insynuacji" — jeśli chodzi o rodzinę kapitalistyczną i środowisko drobnomieszczańskie, albo tak jak recenzentka z „Gazety Polskiej" dostrzeże w nim satyrę na to środowisko, karykaturę, pamflet, albo tak wreszcie, jak p. Roszkówna z „Kultury", o wiele bliższej chyba „Przeglądowi Powszechnemu" niż „Epoce", stwierdzi — „obciążenie światopoglądowe, przedziwną sympatię dla szczerego chamstwa proletariackiego, schematyzm psychologiczny wydedukowany z marksizmu?".

Bo p. Wierzbicka, tak jak i p. Roszkówna — będą w porządku, w zgodzie ze swą przynależnością klasową, w harmonii z poglądami wstecznictwa i klerykalizmu, jakie reprezentują.

Ale pan, krytyk postępowy, który dla zilustrowania słusznej tezy o nowym realizmie, niesłusznie się posłużył moim nazwiskiem, i nadomiar złego, przy tej okazji znalazł się w gronie recenzentów najbardziej reakcyjnych?

O tak, czasy są ciekawe, wie o tym dobrze każdy pisarz, którego dławi gniew, którego przepełnia pragnienie walki, a który zamiast krzyczeć — musi szeptać między wierszami, zamiast dawać jak najjaskrawszy obraz upodlenia i bohaterstwa swej epoki, musi tak preparować utwór, by ominął on nożyce cenzora, i aby w ten sposób choć część tej prawdy, która ciąży na sercach i dławi gardła — doszła do czytelników.

Wiedzą o tym ci pisarze, którzy mają w szufladach dwie lub trzy książki społeczne, napróżno szukające wydawcy w naszych „ciekawych czasach". A co „ciekawsze" — krytycy wiedzą o tym również...

Bezwątpienia ważniejszą rzeczą niż analiza nieporozumienia dwojga kochanków — byłaby powieściowa analiza ostatnich zdarzeń politycznych. Ale wówczas gdy to ostatnie, z wyżej wspomnianych powodów, jest niemożliwe, a to pierwsze jest analizą konfliktu wywo-

łanego przez przynależność do dwu obcych środowisk, do dwu wrogich klas — nie można mówić o bezpłodności tego rodzaju analizy, tymbardziej o szkodliwości jej, o odciąganiu przy tej pomocy umysłu czytelnika od spraw istotnie ważnych.

Przeciwnie. Dostając do rąk książkę, która w taki sposób oświetla tego rodzaju konflikt, czytelnik pojmuje, że nie tylko w polityce, ale we wszystkich sprawach życia codziennego, w jego najosobistszych, najgłębszych, najbardziej zdawałoby się „apolitycznych“ pokładach, człowiek nie przestaje być tym, czym go uczyniło środowisko, nie przestaje, wraz ze swymi najintymniejszymi doznaniami, podlegać potężnym prawom społecznym, których nie zniweluje najmocniejszy nawet poryw biologiczny.

Tak samo nie mogę się zgodzić, by wykazanie na mnóstwie poprzednich faktów, różnic jakie zachodzą między psychiką drobnomieszczanina a psychiką człowieka buntującego się przeciw temu środowisku — było „deformowaniem rzeczywistości“. Uważam bowiem, że przemiana społeczna powinna sięgnąć we wszystkie dziedziny życia, że rewolucjonista powinien nie tylko swym światopoglądem politycznym różnić się od drobnomieszczanina, ale również prostotą stroju, urządzeniem swego mieszkania, stosunkiem do — spraw gospodarstwa domowego, do problemu „służby domowej“, wychowania dzieci. Sprawy rodzinne, erotyczne, małżeńskie, koleżeńskie, towarzyskie, tak samo jak sprawa rozrywki, wypoczynku i systemu pracy, stosunek do pieniędzy, do przyrody — powinny mieć zupełnie inny charakter u rewolucjonisty, niż mają w tchórzliwym, zakłamanym, ciułackim i wyrachowanym, zabagnionym przez przesady życiu drobnomieszczańskim.

I uważam, że walka o taki właśnie światopogląd, któryby sięgnął w krew, w przyzwyczajenie, w codzienność, a nie tylko był cienką warstwą orientacji politycznej na morzu mieszczańskości — nie jest szkodliwa ani jałowa, przeciwnie, nie tak paląca naturalnie jak walka o wolność polityczną, czy sprawiedliwość społeczna, ale równie konieczna i pozytywna.

Tym bardziej, że nie jawni wrogowie, przeciwnicy klasowi i ideologiczni, zdecydowani reakcjoniści, ale oni właśnie, ci drobnomieszczanie w skórach lewicowców są najgroźniejszym złem i niebezpieczeństwem wszystkich rewolucji socjalnych.

Oni to wypływają niby brudna piana na fali każdego przewrotu, oni jak pchły skaczą po lwim grzbiecie powstającego olbrzyma, i ich w końcu, często zbyt późno, strząsa ze swego grzbietu lud.

Prawdziwym zaś rewolucjonistą jest ten, czyje życie od podstaw aż po szczyt jest przerośnięte jego światopoglądem.

Ten kto ma wiedzę socjologiczną nie tylko w mózgu, ale i we krwi. I kto ma odwagę, walcząc o wolność i sprawiedliwość, nienawidząc przemocy i krzywdy społecznej — równocześnie kochać przyrodę, widzieć piękno miłości, rozumieć zwierzęta, interesować się grą ludzkiej psychiki.

Nigdy się nie zgodzę, by człowiek miał być lepszy czy wartościowszy przez to, że się wyrzeknie części siebie. A przede wszystkim tyczy się to twórcy, który nie osiągnie swej miary i nie spełni swych możliwości, jeśli sobie ubrda, lub pozwoli sobie narzucić przekonanie, że nie wolno mu pisać o wszystkim co „odkrył“, co zobaczył choć trochę inaczej niż inni w przyrodzie czy człowieku, ale że powinien ograniczać się do elaboratów historycznych lub do fotografii terenowych.

Nie temat stanowi o klasowej przynależności pisarza, lecz oświetlenie tego tematu.

A „Potrójny Ślad“ — to nie przykład „zaniku obyczajowego tła“ jak chce pan Jordan wraz z panią Wierzbicką, to nie „bzdurna problematyka jaźniowa“. To po prostu — tło obyczajowe współczesnego środowiska mieszczańskiego. I to — problematyka zaprzątająca mózgi tych ludzi.

Pan Jordan mógłby użyć słów wyżej cytowanych, gdybym życiem i psychologią moich bohaterów obarczyła aktywnego rewolucjonistę czy uświadomionego robotnika. Wtedy to rzeczywiście byłyby „mity, fikcje i abstrakcje“, a nie — żywi ludzie.

Ale ci ludzie wyżywający się w erotyźmie i jego powikłaniach psychologicznych, stwarzający mit o wampie, przeciw któremu protestuje sam „wamp“ wbrew woli — Darja, spędzający dni na pijaństwie i plotkowaniu przy pół czarnej, grze w bridża czy bilard — to przecież wykolejeni artystycznym zawodem — drobnomieszczanie i drobnomieszczańskie snoby. Darja przyciąga tych zmęczonych środowiskiem ludzi — jak zwykle pociągają takich ludzi rzeczy proste i odległe od ich codzienności, przyroda, egzotyzm, prymityw, buntowniczość nawet — byle niezbyt jaskrawa.

„Pospolita postać istoty żyjącej wyłącznie przygodami miłosnymi“ — która przesłoniła i pani Wierzbickiej i p. Jordanowi całą resztę powieści, nie jest wcale główną bohaterką cyklu, choć jest jego postacią centralną, ze względów konstrukcyjno - formalnych, i — z jeszcze innych względów. Mimo to, poza przygodami miłosnymi, jakimi musi żyć każdy normalny człowiek, żyje ona jeszcze innymi sprawami. Na str. 110 — Darja mówi: „W tej chwili dopiero sobie uświadomiłam. Zupełne odejście. A przecież czy nie powinnam wrócić? Tylko jak? W jaki sposób dać wyraz temu? Może tu leży klucz do mego niepokoju, gorączkowości, poszukiwań? Może dlatego jestem taka zła, taka zaplątana, przecież odeszłam od swej klasy, nauczyłam się żyć wśród wrogów, przyjęłam ich zwyczaje, ich słowa, ich ubranie, i tylko krew, pochodzenie, jedyne co mnie różni, co mnie wiąże—“.

Jak z tego widać, Darja jest jednostką wykolejoną, przeżywa tragizm zdeklasowania, buntuje się przeciw burżuazji, nie umie wrócić do swej klasy „rodzimej“, szamocze się w poszukiwaniach, i jest w takim stadium rozwoju, że może równie dobrze uczynić krok naprzód i stać się rewolucjonistką, jak zrobiwszy dwa kroki w tył — pogodzić się z mieszczaństwem.

Książce mojej można naturalnie postawić mnóstwo zarzutów. Można kwestionować styl i kompozycję, charaktery i dialogi, obrazy i dramatyczność.

Ale trzeba mieć niezwykle dużo złej woli, by na jej podstawie wysnuć te wnioski, które wysnuł p. Jordan. I by insynuować mi rzeczy tak paradoksalnie sprzeczne z całym moim pisarstwem, tak krzywdzące i do głębi mi wstrętne jak „deformowanie rzeczywistości na użytek tych, którzy zainteresowani są w deformowaniu wszelkiej rzeczywistości“.

E. SZEMPLIŃSKA-SOBOLEWSKA

PRAWDZIWYM PRZYJACIELEM „EPOKI“ JEST TEN, KTO POZYSKAŁ DLA PISMA JEDNEGO PRZYNAJMNIEJ PRENUMERATORA.

Zmylony ślad

Artykuł Elżbiety Szemplińskiej — o ile zdołałem go zrozumieć — polega w całości na gruntownym, zasadniczym nieporozumieniu. Bo tematem moim wcale nie było przeciwstawienie powieści psychologicznej t. zw. powieści społecznej. Jeżeli to przeciwstawienie ma w ogóle jakikolwiek sens (ja go, prawdę mówiąc, nie widzę) — to w każdym razie nie było ono treścią mego artykułu p. n. **Podrabiany realizm.** Próbowałem sformułować tam różnicę między antyrealistyczną mistyfikacją „nowego" realizmu, a tym co rozumiem pod terminem „realizm psychologiczny". To znaczy, że ja w tym artykule — jeżeli można się tak pompatycznie wyrazić — „walczę" o realistyczną powieść psychologiczną i „demaskuję" fikcje i fałsze „nowo"-realistycznego psychologizanctwa. W drugim zaś artykule p. n. **Realizm na serio,** stanowiącym właśnie przedmiot niniejszej polemiki, operuję konkretnymi przykładami z literatury polskiej, ilustrując psychologiczny realizm i nierealistyczny psychologizm powieściowy. Nie napisałem natomiast ani słowa o powieści „społecznej", o rewolucji i rewolucjonistach, o działaczach robotniczych, bo to wszystko do mego tematu nie należało. Co więcej, bardzo ostro przeciwstawiłem się reportażowemu typowi powieści „społecznej" i temu, co Szemplińska najzupełniej słusznie nazywa „fotografią terenową".

Ja wcale nie mam do pisarza „pretensji" o to, że pisze powieści psychologiczne — i nigdzie tego nie potępiłem. Żądałem tylko, żeby to był **realizm psychologiczny,** żeby to nie była dusza izolowana i nierzeczywista, żeby to nie była — jednym słowem — abstrakcja. I żądałem, żeby to nie był **naturalizm psychologiczny,** coś w rodzaju reportażu z wnętrza ludzkiego. Nie powiedziałem, że „ważniejszą rzeczą niż analiza nieporozumienia dwojga kochanków byłaby powieściowa analiza ostatnich zdarzeń politycznych". Nawet przez mikroskop nie dałoby się to w moich artykułach wyczytać. Nie powiedziałem „by człowiek miał być lepszy czy wartościowszy przez to, że się wyrzeknie części siebie". Nie powiedziałem i nie wynika to z mych artykułów, że pisarzowi „nie wolno pisać o wszystkim co „odkrył", co zobaczył choć trochę inaczej niż inni w przyrodzie czy człowieku, ale powinien się ograniczać do elaboratów historycznych lub do fotografii terenowych".

Jeżeli zaś Szemplińska w swym artykule maluje sugestywny niewątpliwie wizerunek integralnego rewolucjonisty, to ja nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia, bo nic nie pisałem o takim czy innym typie rewolucjonisty. Pisałem o realizmie i pseudo-realizmie i nie podjąłbym się w ogóle rozstrzygnięcia, jak powinien wyglądać strój rewolucjonisty, urządzenie jego mieszkania, czy organizacja jego gospodarstwa domowego. Ja napisałem, że Leon Płoszowski to realistycznie ujęty i odmalowany typ psychiczny, ale nie pasowałem go na rewolucjonistę, czy działacza robotniczego, bo nie o to mi chodziło, a bohater Sienkiewicza jest — jak wiadomo — przerafinowanym, hamletyzującym arystokratą.

Charakteryzując „nowy" realizm, rzeczywiście zaliczyłem do tego rodzaju i „Potrójny Ślad" — przeciw czemu protestuje Szemplińska. A przecież uczynił to już przede mną w tejże, demokratycznej „Epoce" Wład. Romanowski w swoim artykule o twórczości Szemplińskiej, gdzie bardzo przychylnie potraktował „Potrójny Ślad", właśnie jako przykład nowego realizmu, przy czym postawił Szemplińską w jednym szeregu z takimi autorkami jak Szelburg Zarembina czy Kuncewiczowa. Romanowski (zgodnie z Pomirowskim) potraktował zresztą „nowy" realizm jako rzeczywisty realizm psychologiczny — i to było jedną z przyczyn, które skłoniły mnie do napisania moich dwu artykułów. Tym czasem Szemplińska dopiero **mnie** ma za złe, żem „dla zilustrowania **słusznej** tezy o nowym realizmie **niesłusznie** posłużył się jej nazwiskiem! Krzywda mi się dzieje — Romanowskiemu wolno a mnie nie? Albo „Potrójny Ślad" należy do nowego realizmu albo nie należy. Jeżeli nie należy, to obaj nie mieliśmy racji. Jeżeli należy, to rację ma Romanowski, który **akceptuje** „nowy" realizm, przy czym chwali powieść Szemplińskiej, ale rację mam i ja, chociaż **odrzucam** nowy realizm i mam zasadnicze zastrzeżenia w stosunku do tej powieści.

To też przeczytawszy „recenzję własną" Szemplińskiej o „Potrójnym Śladzie" pozwolę sobie podtrzymać moją opinię o tej powieści, bo to co o niej napisałem, wynika z mego najgłębszego przekonania. Utrzymuję, podobnie jak Romanowski, że powieść ta powstała na glebie „nowego" realizmu, który — w przeciwieństwie do Romanowskiego — uważam za kierunek deformujący rzeczywistość psychiczną, wyłączający duszę ludzką z obiektywnej rzeczywistości, wzgl. osadzający ją w rzeczywistości fragmentarycznej, niepełnej, w rzeczywistości — nierzeczywistej.

Uważam „nowy" realizm za przejaw filozoficznej i literackiej reakcji. A pisarz nawet najszczerzej postępowy może przez poddanie się błędnej i wstecznej koncepcji artystycznej tworzyć dzieła sprzeczne z własną postawą ideową, z własnymi zamierzeniami. Wolno i należy zwrócić mu na to uwagę — zgodnie z interesem

---

„Epoka" zgodnie z tradycją „Głosu", „Przeglądu Społecznego", „Ogniwa", „Społeczeństwa" walczy o wolność jednostki i narodu, o kulturę i humanizm, o swobodę myśli i twórczości ludzkiej — o to wszystko, co rodzajowi ludzkiemu może zapewnić tylko demokracja. Dlatego „Epoka" ma wyraźne i jednoznaczne oblicze polityczne, przeciwstawiając się wszystkim odmianom faszyzmu, wszystkim odcieniom totalizmu, pół-totalizmu i ćwierć-totalizmu.

„Epoka" jest więc wspólną trybuną wszystkich, którzy zajmują identyczną postawę wobec faszyzmu i demokracji, wszystkich którzy zgodnie z polską tradycją wolnościową, przeciwstawiają się importowi obcych i wrogich polskości doktryn totalistycznych i antydemokratycznych.

Służąc sprawie humanizmu i kultury, jest zarazem „Epoka" trybuną wszystkich, nawet bardzo różnych i często przeciwstawnych sobie, poglądów ideologicznych, filozoficznych, naukowych i literackich, różnych prądów społeczno-kulturalnych, które w ramach obozu demokratycznego służą postępowi ludzkiemu i bronią dorobku cywilizacyjnego przed zalewem nowego barbarzyństwa. Pojmując w ten sposób swoje zadania, „Epoka" idzie śladem tych, tak bardzo dla kultury polskiej zasłużonych pism przedwojennych, których tradycję kontynuuje w nowej rzeczywistości.

pisarza i czytelnika. Jeżeli Szemplińska oświadcza, a oświadczenie swe popiera słowami Darji, że konflikt tej osoby z mieszczańskim środowiskiem tkwi w jej chłopskim pochodzeniu, że jej nieporozumienie z kochankiem - arystokratą odzwierciedla przeciwieństwa psychiki klasowej, że Darja „buntuje się przeciw burżuazji" — to nie wolno wprawdzie kwestionować szczerości tego oświadczenia, ale wolno i należy sprawdzić, czy to w powieści rzeczywiście „wyszło". Sprawdzi krytyk, a przede wszystkim czytelnik, którego nie wiąże oświadczenie pisarza ani ocena krytyka. Uważam, że te rzeczy w „Potrójnym Śladzie" nie wyszły, bo zresztą wyjść nie mogły. Skoro już o tym mowa, to trzeba stwierdzić, że takie postawienie sprawy grzeszy prymitywem i schematyzmem, jest nierealistyczne nie tylko literacko, ale też społecznie, co przecież — koniec końców — na jedno wychodzi. Te rzeczy nie są w życiu takie proste: Darja-chłopka(?), Urban-arystokrata, konflikt miłosny gotowy. To tylko tak wygląda w oczach p. Roszkownej z poznańskiej „Kultury", która w powieści Szemplińskiej doszukuje się... marksizmu! Ale recenzja p. Roszkowny jest klasycznym przykładem rozpaczliwego kołtuństwa, które po prostu wstyd przynosi pismu tak poważnemu jak „Kultura".

A skoro już mowa o „reakcyjnych" recenzentach, to i ta sprawa nie jest tak prosta, jak sądzi Szemplińska. Oba moje artykuły, nawet ten drugi, w którym operuję konkretnymi przykładami, nie miały charakteru recenzji. Zarzuciłem tylko oficjalnej krytyce literackiej, że ze szkodą dla literatury bezkrytycznie oklaskuje „nowy" realizm. Dodam, że krytyka postępowa prawie nie różni się pod tym względem od reakcyjnej i bezideowej. Otóż znalazłem wyjątek. Recenzentka jezuickiego „Przeglądu Powszechnego" poznała się na mistyfikatorskim psychologizmie modnego pseudorealizmu — właśnie przy ocenie „Potrójnego Śladu", który zresztą skrytykowała częściowo tylko słusznie. Ale, to co powiedziała w ogóle o tym rodzaju powieściowym, odbija b. korzystnie od stanowiska całej prawie krytyki literackiej. Powiedziała wiele rzeczy bardzo słusznych, z którymi zgodzi się każdy, kto nie boi się przyznać racji tam, gdzie ona istnieje i temu, kto ją ma, choćby to nawet było (o zgrozo!) jezuickie pismo. Chowanie głowy w piasek, usypianie się terminami w rodzaju „wrogów klasowych", „reakcjonistek", „tamtej strony barykady" nic tu nie pomoże. Terminy te użyte jako etykietki łatwo mogą zamienić się w... przepaski na oczach.

A już naprawdę niepokojąco brzmi postawiony mi przez Szemplińską zarzut, że powołuję się na reakcjonistę Sienkiewicza! „Bez dogmatu" jest klasycznym przykładem „starego" realizmu psychologicznego—Kultura nie zaczyna się od nas... w roku 1939. Sienkiewicz jest jednym z największych pisarzy polskich. Nowa, postępowa bez cudzysłowu, literatura musi być kontynuacją tego, co dawna przekazała nam demokratom, jako trwałe i wartościowe. Nowa literatura przyswoi sobie i twórczo wchłonie najcenniejsze elementy dziedzictwa literackiego, przetworzy je i stopi z nowymi, zrodzonymi przez dzisiejszą rzeczywistość — za pomocą metody współczesnego, nowego bez cudzysłowu, realizmu literackiego. Mając o wiele rozleglejsze horyzonty poznawcze, rozwijając zupełnie inną problematykę, stawiając inne postulaty teoretyczne, walcząc o nowe rozwiązania praktyczne — realizm współczesny nie odrzuca zdobyczy starego, lecz chętnie z nich korzysta. Będzie korzystał z tego, co pozostawili nam w spadku tacy... reakcjoniści, jak Sienkiewicz, jak carosławny Gogol, jak burboński legitymista, Balzac — i wielu, wielu innych. Nie będzie ich imitował, ale będzie się od nich uczył. Kto tego nie rozumie, ten doprawdy zmylił ślad.

Bo na pewno idzie zmylonym śladem, kto chce widzieć realizm literacki w „Płomieniach" Brzozowskiego!

Powołałem się na „Bez dogmatu" (a nie np. na twórczość Żeromskiego) jako na powieść typowo psychologiczną. Reakcjonista Sienkiewicz wziął temat z życia i realistycznie go oświetlił. Realistycznie odmalował reakcyjne środowisko społeczne i towarzyskie, z którego sam pochodził, w którym tkwił i któremu pragnął służyć. Można i trzeba uczyć się od niego i od wszystkich wielkich pisarzy-realistów, choćby najbardziej reakcyjnych. Bo — dobra nauka nie jest zła...

I bardzo niebezpiecznie jest załatwiać się z nieprzyjemną krytyką magicznym słóweczkiem: „reakcjonistka". Trzeba zastanowić się, czy czasem ta lub inna „reakcjonistka" nie ma w konkretnym wypadku częściowej choćby racji. A dobrze jest też nie ufać zbytnio pochwałom, pochodzącym z własnego obozu. Nie cieszyć się każdą przychylną czy entuzjastyczną recenzją w prasie demokratycznej. Bo nieraz można się „naciąć".

W dzisiejszych czasach, gdy na twórczości powieściowej żeruje tylu młodzieńców bez talentu i poczucia odpowiedzialności, ale obdarzonych dużym tupetem i pewnością siebie, gdy inni — rzeczywiście utalentowani — marnują swe zdolności w czczych igraszkach, służących do epatowania zblazowanych snobów, pisarz utalentowany, który — jak Szemplińska — istotnie coś reprezentuje, wysłucha bez uprzedzenia każdego głosu krytycznego i oceni go rzeczowo, niezależnie od tego skąd ten głos pochodzi. Będzie się za to miał na baczności przed bezkrytyczną krytyką, hołdującą beztreściowemu werbalizmowi i hałaśliwie oklaskującą wszystko, co trąci jakąś „nowością".

Czego życzyć wypada Elżbiecie Szemplińskiej.

MICHAŁ JORDAN

P. S. Terminy: „izolacjonizm psychologiczny" i „przeraźliwie ubogi obraz duszy ludzkiej" — pochodzą odemnie, nie od recenzentki „Przeglądu Powszechnego". Uważne przeczytanie artykułu, z którym się polemizuje, jest koniecznym warunkiem rzeczowej polemiki.

PO ZAMKNIĘCIU NUMERU

nadeszła wiadomość, że Conclave obrało papieżem kardynała Eugeniusza Pacellego, dotychczasowego sekretarza stanu. Wybór nowego papieża, Piusa XII, najbliższego współpracownika Piusa XI, zdaje się świadczyć, że polityka zmarłego papieża będzie kontynuowana. Wskazuje na to nie tylko osoba nowego sternika Kościoła, ale także fakt powołania na stanowisko sekretarza stanu kardynała Ludwika Maglione, swego czasu nuncjusza we Francji.

Kolumna rozmaitości

REWELACJE O ŻEROMSKIM

Nieznany dotychczas szerszym kołom społeczeństwa poseł ozonowy, p. Dobkowski, wystąpił niedawno w Sejmie z sensacyjnymi informacjami o Stefanie Żeromskim. W przemówieniu, zawierającym ostry atak na Akademię Literatury, powołał się pan poseł aż dwukrotnie na autorytet wielkiego pisarza, oświadczając dosłownie:

„Dorobek dotychczasowy tej instytucji daleko odbiega od myśli rzuconej niegdyś przez Żeromskiego, ażeby stworzyć taką akademię, która by NADAWAŁA KIERUNEK NAJNOWSZEJ LITERATURZE I POMAGAŁA TWORZYĆ NOWE IDEAŁY, gdy ideały dawne już się przeżyły“. (podkr. nasze).

„Akademia Literatury powinna być DUCHOWO WSPÓŁCZESNA, jak tego chciał Żeromski. Chciał on oderwać młodzież od dawnych przeżytych ideałów“. (podkr. nasze).

I w trosce o realizację wskazań Żeromskiego zapytuje p. D.:

„Czy mamy w tej akademii choć jednego pisarza, który by był sztandarowym wyrazicielem naszych dzisiejszych idei?“

Ażeby zaś nikt nie miał wątpliwości co do tego, o jakich to „dzisiejszych ideach“ mowa, dodaje:

„Jest Obóz Zjednoczenia Narodowego. Proszę mi wykazać, który z członków Akademii reprezentuje idee Obozu“.

„Apeluję z tego miejsca do członków P.A.L., ażeby byli łaskawi POKAZAĆ SWOJE OBLICZE IDEOWE w takim sensie, żeby Rząd współpracujący z O. Z. N. miał z tej literatury pożytek wychowawczy“.

Okazuje się, że Stefan Żeromski, który niestety nie dożył wielkiego dnia narodzin O. Z. N., przewidział jednak w proroczym jasnowidzeniu to doniosłe wydarzenie i wypowiadając swój pogląd na zadania przyszłej Akademii Literatury — której był pierwszym inicjatorem i projektodawcą — na naczelnym miejscu postawił ‚pożytek wychowawczy“ dla „rządu współpracującego z O. Z. N.“.

Stwierdzenie tego interesującego faktu — który będzie bodaj rewelacją dla najlepszych znawców żywota i dzieł Żeromskiego — pozostanie wiekopomną zasługą pana posła Dobkowskiego.

NIEDYSKRETNE PYTANIE

Szkoda tylko, że p. D., ogłaszając z trybuny sejmowej swoje rewelacje, nie wskazał, gdzie i kiedy mianowicie Żeromski wypowiedział myśli i życzenia, na które p. D. się powołuje. Dotychczas bowiem znana nam jest tylko jedna wypowiedź Żeromskiego na ten temat: nieduża broszurka, wydana przed dwudziestu mniej więcej laty p. t. „Projekt Akademii Literatury Polskiej“. Poglądy, zawarte w tej broszurze, są nieco odmienne od tych, jakie wyznaje pan poseł.

Potrzebę stworzenia Akademii Literatury uzasadnia Żeromski trzema względami. Są to:

„1) sprawa czystości i piękności języka;
2) sprawa rozszerzenia kultury literackiej na warstwy szerokie inteligencji i ludu;
3) sprawa instancji i obrony twórczości wolnej“.

W całej broszurze nie ma ani słowa o „tworzeniu nowych ideałów“ ani też o walce z „dawnymi“, przeżytymi ideałami“. Nie ma ani słowa o „naginaniu się pisarza do konieczności państwowych“ (czego domaga się p. Dobkowski), ani o „pokazywaniu oblicza ideowego“ członków Akademii — nie ma w ogóle mowy o jakichkolwiek *ideologicznych* „założeniach“ i wystąpieniach tej instytucji.

Jest natomiast mowa o czymś innym — co też powinno p. posła zainteresować. Rozwijając myśl swoją o „obronie twórczości wolnej“ jako jednym z zadań Akademii, Żeromski kategorycznie przeciwstawia się wszelkiemu krępowaniu twórczości literackiej, wszelkiemu „nadawaniu kierunku“ literaturze. Wskazuje on na konieczność

„uniezależnienia literatury, jako sztuki wolnej, od wpływu i przemocy partii politycznych, klik władających dziennikami, ugrupowań społecznie skrajnych w jednym lub drugim kierunku, reakcyjnych, postępowych, czy bezbarwnych“,

uskarża się, iż

„twórczość literacka w Polsce bardziej, niż gdziekolwiek indziej na świecie, podlega nieustannemu nadzorowi i admonicjom“,

i, polemizując ze Stanisławem Brzozowskim, wykrzykuje ironicznie:

„jakże znakomicie miałaby się literatura w Polsce, gdyby jej „charakter“ ustalał jeden dyspozytor!“

Ponieważ to stanowisko wydaje nam się niezupełnie zgodnym ze stanowiskiem Ozonu, który dąży, jak wiadomo, do „skupienia całości spraw kulturalnych w jednym ośrodku dyspozycyjnym“, oraz z cytowanymi już postulatami ozonowego ustawodawcy, p. Dobkowskiego — bylibyśmy bardzo wdzięczni p. posłowi, gdyby wskazał dokładnie źródło, z którego zaczerpnął informacje o poglądach Żeromskiego na rolę i zadania Akademii Literatury. A jeśli p. poseł tak łaskaw — to możeby tak nawet cytatkę, jedną i drugą? Tak na wszelki wypadek, żeby już uniknąć dalszych pytań...

„KIERUNEK“ — TO FORSA

Przemówienie p. Dobkowskiego było ciekawe nie tylko ze względu na te rewelacje o Żeromskim. Po raz pierwszy bodaj mieliśmy sposobność usłyszeć tak wyraźnie sformułowane i tak konkretnymi argumentami poparte „zamówienie społeczne“ — a raczej polityczne — pod adresem literatury.

Zastanawiając się nad tym, czy P.A.L. „zasługuje“ czy „nie zasługuje“ na przyznanie jej większej dotacji ze Skarbu Państwa, p. Dobkowski wyraził pogląd, że „powinno tu mieć zastosowanie staropolskie przysłowie: płacę i wymagam“. Bo, zgodnie z dobrymi obyczajami handlowymi, „trzeba wiedzieć za co się płaci“: Akademia Literatury, zdaniem p. posła, źle służy Ozonowi, należy więc zastanowić się nad tym, czy dalsze jej utrzymywanie w obecnej postaci jest celowe. Ozon przecież płaci (nie z włas-

nej kieszeni, co prawda, bo z pieniędzy podatkowych, publicznych) — więc Ozon ma prawo wymagać!

Przewinienia Akademii są istotnie wielkie. Akademicy nie tylko sami bojkotują pracę dla Ozonu, zajmując się dzieleniem włoska na cząstki (jak Irzykowski) albo zgoła „nie wiedząc co czynić" (jak Kaden-Bandrowski), ale też tolerują i popierają przestępstwa pisarzy nie-akademików. Pozwalają np. Gojawiczyńskiej pisać o dziewczętach które „idą na ulicę", i nie bronią Kuncewiczowej „wywalać tomu", z którego okazuje się, że kobieta nie jest aniołem. Wypisuje się takie pornografie, a Akademia udaje, że nie widzi: nie konfiskuje, nie denuncjuje, nie skarży do prokuratora. Skandal! Trzeba więc akademikom wyraźnie powiedzieć, że oczekuje się od nich „pożytku wychowawczego" dla rządu i Ozonu i że od zadośćuczynienia tym wymaganiom zależy, czy dostaną forsę czy nie. Bo przecież „nie jest to hańbą, ażeby pisarz naginał się do konieczności państwowych".

A JEDNAK POSEŁ MA RACJĘ...

„Spór" między posłem Dobkowskim i Akademią Literatury — której „regime'owy" charakter jest powszechnie znany — jest sporem rodzinnym, do którego nam mieszać się nie wypada. Pod jednym względem musimy jednak przyznać p. posłowi słuszność: Akademia obecna istotnie ma bardzo mało wspólnego z ideą Żeromskiego.

Wobec bezprzykładnego w swej otwartości i cynizmie ataku na swobodę twórczości literackiej, wobec obelżywego potraktowania pisarzy polskich jako płatnych najemników partii rządzącej, P.A.L. — która, jako „oficjalna reprezentacja" literatury, powołana jest podobno do obrony jej godności i honoru — spokojnie drzemie w swych fotelach, ani myśląc o jakiejś reakcji na zniewagi, padające z trybuny sejmowej.

Zaiste, tytuł akademika staje się osobliwie zaszczytnym wyróżnieniem...

P. P. S. o sytuacji wewnętrznej

Rada Naczelna PPS powzięła doniosłe uchwały o sytuacji wenętrzno-politycznej w Polsce i sformułowała najpilniejsze postulaty w tej sprawie. Postulaty te odzwierciadlają stanowisko całego obozu demokratycznego:

„W chwili, gdy dojrzewają dziejowe wydarzenia, gdy z winy państw „totalnych" ciągle powstające konflikty mogą przerodzić się w straszliwą wojnę, Polska musi odwołać się do żywych sił ludowych, bo tylko one są w stanie zapewnić jej bezpieczeństwo, całość i niepodległość. Los Polski jest nierozerwalnie związany z podniesieniem dobrobytu materialnego i kulturalnego mas pracujących i z przywróceniem im pełni praw politycznych oraz z koniecznością przebudowy społeczno-gospodarczej Polski w myśl potrzeb i interesów warstw najszerszych ludności pracującej.

I dlatego musi być przywrócony najszerszym warstwom pracującym nie krępowany wpływ i głos decydujący w sprawach państwowych, a w pierwszym rzędzie w Izbach Ustawodawczych — do których od roku 1935 dostęp został im zamknięty. To też zmiana dotychczasowej krzywdzącej ordynacji wyborczej z uwzględnieniem zasad demokratycznego głosowania, z zagwarantowaniem prawdziwej niezależności i czystości aktu wyborczego jest najpilniejszą koniecznością państwową".

„...wszystko wskazuje na to, że Sejm obecny nadal będzie z tą sprawą przewlekać, a posłowie Ozonowi zapowiadają niedwuznacznie dalsze pogorszenie prawa wyborczego nie tylko do Sejmu, ale też i do samorządu. Jednocześnie Rząd uchyla się od podjęcia własnej w tej sprawie inicjatywy ustawodawczej.

W tym stanie rzeczy, Rada Naczelna wysuwa żądanie natychmiastowej zmiany ordynacji wyborczej do Parlamentu, tak by jeszcze w tym roku mogły się odbyć wybory do izb ustawodawczych i żeby tylko nowy parlament dokonał najważniejszego zadania konstytucyjnego — wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej.

Wokół tego zadania winny się skupiać wszystkie czynne i zorganizowane siły demokracji polskiej, reprezentujące masy chłopskie, robotnicze i pracownicze".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu F. A. w Warszawie: Rzeczy nadesłane są godne druku, ale nie nadają się do „Epoki".

Panu A. H. w Sosnowcu: Wskutek nawału aktualnego materiału zapowiedziane wspomnienia i fragmenty pracy Nałkowskiego ukażą się z pewnym opóźnieniem.

Oświatowcowi w Drohobyczu: Pisaliśmy już obszernie o istocie epidemii duchowej. Może powrócimy jeszcze do tego tematu, ażeby pokazać w świetle współczesnych epidemij psychicznych żałosną rolą t. zw. inteligencji. Doświadczenie naszych czasów wskazuje, że właśnie w środowisku „inteligencji" uderza najbardziej brak kierownictwa rozumu i zmysłu krytycznego i że tam właśnie najłatwiej powstaje tłum psychiczny. Prasa brukowa, jako największy rozsadnik tych epidemii, jest zakałą naszego życia, a jednocześnie miarą upadku i degradacji inteligencji.

Pani W. T. w Inowrocławiu: Nie skorzystamy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Tadeusz Staich: Deszcz za oknem. Poezje. Nakładem autora. Kraków 1939.

Wydawnictwa Księgarni F. Hoesicka:

St. Colonna-Walewski: Agnes. Powieść. Warszawa 1939.

Marian Promiński: Lüdigerowie. Powieść. Warszawa 1938.

Stanisław Piętak: Białowiejskie noce. Powieść. Warszawa 1939.

Demokracja polska zawsze walczyła i walczy obecnie o przyszłość Polski

REDAKCJA I ADMINISTRACJA. WARSZAWA. UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się.

P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 203 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3